81 LAT ŚRODA UKAZUJE SIĘ OD 1945

4 marca 2026

NR 52 (18445)

Sport



Mamy wszystko pod kontrolą!

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Sport fa29b4d0b9

Z DRUGIEJ STRONY

Piotr Tubacki



Polityko, oddaj piłkę!

Jednym z największych atutów sportu jest to, że można o nim porozmawiać przy rodzinnym stole. Kluby piłkarskie nie znają poglądów politycznych, podobnie jak reprezentacja. Kibicują i „prawaki", i „lewaki", i każdy inny, kogo tam sobie umieścimy na wykresie sympatii wyborczych. Trudno się w tej materii pokłócić w kontekście POPiS-owych idiotyzmów – no chyba, że zasiadamy obok skończonego idioty, który wszędzie widzi spisek Jarka albo Donalda. To jednak zawiewa już lekkim psychiatrykiem, ale na szczęście takie jednostki należą do rzadkości. Jednakże sport dzisiaj jest biznesem globalnym i wykracza daleko poza domową izbę oraz to, czy jakiś anonimowy Brazylijczyk w ekstraklasie jest transferem dobrym, czy złym. Widać to szczególnie w przypadku meczów międzynarodowych, gdzie bardzo często mierzą się ze sobą nacje o tak chorobliwie wrogim wręcz nastawieniu zakorzenionym w dekadach historii, że napięcie panujące w atmosferze pozwala naładować telefon bez ładowarki. W Europie nie zawsze to odczuwamy. Tutaj swoje przepracowaliśmy i na ogół jest spokojnie – z tego powodu tak wielkim szokiem było dla wszystkich to, co zaczęło się kilka lat temu na Ukrainie. Jasne, że były pewne afery bałkańskie itp., ale korzystając z pewnego uproszczenia, można stwierdzić, że do tej pory XXI wiek w Europie był okresem dobrym i stabilnym.

Na świecie bywa jednak różnie i to właśnie „różnie" od zawsze niestety miało wpływ na sport – element życia, który z zasady i natury powinien być apolityczny i koncentrować się na regułach fair play oraz wzajemnym szacunku. Polecam serdecznie kapitalny tekst Michała Zichlarza ze strony 9 dzisiejszego wydania, który przypomniał, jak to drzewiej przy okazji różnych piłkarskich mistrzostw świata bywało. Pokazuje on, że choć hasło o niełączeniu polityki z futbolem brzmi zachęcająco, w praktyce jest niemożliwe do zrealizowania.

Widzimy, co się dzieje na Bliskim Wschodzie. Nie będziemy tutaj tego analizować, nie jesteśmy katowicką „Geopolityką", lecz katowickim „Sportem" i w tym kontekście stwierdzimy jedno – na nieszczęście te wydarzenia będą miały ogromny wpływ na tegoroczny mundial. Niektórzy mówią, że to III wojna światowa (a w zanadrzu jeszcze Tajwan...). Iran walczy z USA, a przecież na amerykańskiej ziemi ma grać mecze grupowe. Miało być święto piłki nożnej, spotkanie różnych kultur, pielęgnacja radości i swobody... a nie wiadomo, co będzie i czy w ogóle będzie. Irański bojkot jest bardzo prawdopodobny i trudno przewidzieć, jakie poniesie za sobą konsekwencje. Do tej pory w przypadku XXI-wiecznych mistrzostw świata najwięcej mówiło się o... korupcji. Teraz tematem numer jeden jest wojna. Globalna polityka psuje wielkie wydarzenie.

Na koniec ciekawostka związana z udziałem Iranu w MŚ 2026, totalnie odcinając się od obecnego konfliktu. 26 czerwca miał zagrać w Seattle swoje spotkanie z Egiptem. Derby islamu, można by rzec. Prześmiesznie zrobiło się wówczas, gdy okazało się, że jeszcze przed losowaniem grup w mieście zaplanowano... dzień dumy osób LGBT, obchodów którego częścią miał być mecz mundialu. No i trafił się mecz Iranu z Egiptem, którym – cóż – niespecjalnie spodobała się odgórnie narzucona inicjatywa.

Trochę jaja jak berety. Trochę śmiech przez łzy. Polityko, oddaj nam piłkę nożną!

Media zawsze będą c

Rozmowa z **Janem Urbanem**, selekcjonerem piłkarskiej reprezentacji Polski



Fot. Radosław Makuch / Press Focus

Jan Urban wręcza Bartoszowi Nowakowi nagrodę za tytuł Piłkarza Roku t

Kiedy rozmawialiśmy w okolicach Świąt Bożego Narodzenia, bez emocji mówił pan o perspektywie baraży: „Jeszcze trzy miesiące, wiele się może zdarzyć". Dziś do meczu z Albanią mamy nie trzy miesiące, a trzy tygodnie. No to jak tam z emocjami?

– Szczerze? Zbyt wiele się nie zmieniło. Różne rzeczy się dzieją – ot, uraz Roberta Lewandowskiego w weekend, a te trzy tygodnie to jeszcze całkiem sporo. W zależności od tego, kto gdzie ktoś gra, mogą to być jeszcze trzy spotkania klubowe, a czasem i sześć.

„Wachlarz zawodników, którym się przyglądamy, jest bardzo szeroki. Czy to Mateusz Żukowski, czy Kacper Potulski, czy inna nasza młodzież – na każdego trzeba rzucić okiem"

Więc na razie wciąż jeszcze po prostu obserwujemy. Rywali – bo niczego nie można zaniedbać, ale przede wszystkim naszych kadrowiczów. Bo najważniejsze, abyśmy to my byli w jak najlepszej dyspozycji.

Wspomniany przez pana uraz „Lewego" to świeża sprawa. Jesteście w kontakcie?

– Będę z nim rozmawiać.

Wierzy pan w komunikat, że zagrać ma już w weekend?

– Mam nadzieję, że tak będzie. Doktor Jacek Jaroszewski jest w kontakcie ze sztabem medycznym Barcelony. Z tych rozmów wynika, że przerwa nie będzie długa.

Ewentualna nieobecność kapitana byłaby potężnym problemem. Bo jak się patrzy na „dokonania" i formę czy to Adama Buksy, czy Karola Świderskiego, to... skóra cierpnie.

– No jest problem, to prawda. Ale miewaliśmy już podobne momenty: kadrowicze raz grali więcej, innym razem mniej.

To może trzeba – jak to podsuwają różne mądre głowy – sprawdzić Mateusza Żukowskiego?

– Nie ma się z czego śmiać! W II lidze niemieckiej nie strzela się łatwo bramek. A chłopak rzeczywiście się wyróżnia. I był przez nas obserwowany. Naprawdę mamy wszystko pod kontrolą! Wachlarz zawodników, którym się przyglądamy, jest bardzo szeroki. Czy to Żukowski, czy Kacper Potulski, który występuje w Bundeslidze, czy inna nasza młodzież – na każdego trzeba rzucić okiem. Bo wśród starszych zbyt wiele się nie zmienia; no chyba że mówimy o sytuacji Kuby Modera, który po kontuzji wrócił do gry.

Tego Modera zapisałem sobie w kontekście... napastników, bo w Feyenoordzie pojawił się przez moment na szpicy. Holendrzy odkryli w nim nowy talent?

– Kuba rzeczywiście zagrał w ataku; zresztą grywa tam na różnych pozycjach. Ale oczywiście – moim zdaniem – najlepsze miejsce dla niego to środek pola, wybór między „szóstką" a „ósemką".

Właśnie na „szóstce" miewaliśmy wakat w trakcie leczenia przez niego kontuzji: Bartek Slisz był jedynym godnym kandydatem. Jego powrót do Europy pana ucieszył? Gra w Broendby to dobry krok tego piłkarza?

– Wydaje mi się, że tak. On chciał wrócić, a ważne jest, żeby zawodnik czuł się dobrze w danym miejscu. Bo jeśli tego dobrego samopoczucia nie masz, to trudno, żebyś wskoczył na swój najwyższy poziom. Żeby grać na najwyższym poziomie, wiele rzeczy musi się poukładać: nic nie powinno ci zatruwać głowy, musisz być zadowolony z życia, by skoncentrować się wyłącznie na swojej pracy i wykonywać ją jak najlepiej.

Pewnie dużo nazwisk będzie jeszcze padać w przestrzeni medialnej, zanim roześle pan powołania. Sam pan wspomniał o Potulskim, jest kilku innych kandydatów nieoczywistych?

– Mamy takich na oku, bo wielu z tych chłopaków daje nam cotygodniowymi występami znać: „Pamiętajcie, że ja tu jestem". Natomiast jest i Jurek Brzęczek, który przygląda im się tak samo uważnie jak my. Obyśmy mieli jak najwięcej takiego pozytywnego bólu głowy: kogo wybrać czy w jakiej reprezentacji powinien zagrać.

„Niby kandydatur jest wiele, ale czy każda z nich to „international level"? Tego nie jestem pewien, więc... trzymajmy kciuki za zdrowie tych, którzy do tej pory grywali najwięcej w reprezentacyjnej obronie"

Potulski pewnie mógłby przysłużyć się młodzieżówce, o ile zdrów będzie Kuba Kiwior. Na szczęście w minionej kolejce już zagrał.

– Ale przed zgrupowaniem kadry ma jeszcze dwa-trzy mecze do rozegrania w Porto. Jeśli w nich wystąpi, to – mimo faktu, że przez dłuższy czas nie grał – powinien wyglądać odpowiednio.

Za to Jan Ziółkowski już – jak się zdawało – złapał tego swojego „króliczka", gdy wskoczył do podstawowego składu Romy. A tymczasem w styczniu znowu siadł na ławę...

– Ale ja byłem przekonany, że tak właśnie będą wyglądać jego pierwsze miesiące w Rzymie; że będzie wprowadzany raz częściej, raz rzadziej – w zależności od tego, jak się będzie w danym okresie pokazywać w tych występach. Decyzja „stawiamy na niego" albo „to jeszcze nie jest ten moment, niech idzie na wypożyczenie" wciąż jeszcze przed władzami Romy. To normalne w takich klubach.

Niezależnie od sytuacji Ziółkowskiego, obrona – z Kiwiorem, Bednarkiem i Wiśniewskim – i tak stanowiła chyba najsolidniejszą formację. Czy teraz, wobec powrotu „Wiśni" do Polski i formie przezeń prezentowanej, trzeba szukać kandydatów?

– Prawdę mówiąc tu też wielkiego wyboru nie ma, zwłaszcza gdyby wypadł jeden czy dwóch zawodników. Niby kandydatur jest wiele, ale czy każda z nich to „international level"? Tego nie jestem pewien,

Sport fa29b4d0b9

chciały za mnie kogoś powołać



ygodnika „Piłka Nożna”. Czy spotkają się

więc... trzymajmy kciuki za zdrowie tych, którzy do tej pory grywali najwięcej w reprezentacyjnej obronie.

Jeszcze słówko o drugiej linii. Rozumiem, że wątek „życiowy”, który poruszył pan w przypadku zmiany barw przez Slisza, odnieść można także do Sebastiana Szymańskiego, kiedy wypaliła się „chemia” między nim a Fenerbahce?

– Gdy zawodnik przechodzi do nowego środowiska, zaczyna z wielką nadzieją trenować, grać, poznawać nową ligę. To wszystko powoduje, że – zazwyczaj – jest w dobrej dyspozycji mentalnej. A my musimy takie rzeczy wykorzystać w reprezentacji. Podczas naszego pierwszego wspólnego zgrupowania też mieliśmy na nim zawodników, którzy właśnie zmienili albo dopiero byli na etapie zmieniania klubu. W tych nowych zaczęli grać, co się okazało bardzo znaczące dla nas, dla kadry.

Szymański gra w Rennes regularnie, za to od miesiąca nie ma kontuzjowanego Przemka Frankowskiego...

– O ile wiem, niedługo ma wracać do gry. Mam nadzieję, że wskoczy do pierwszego składu, bo dotąd – gdy był zdrowy – zawsze było tam miejsce dla niego. Tylko, niestety, dość często pojawiają się u niego urazy. Trudno mi powiedzieć, z czego to wynika. Na pewno to nie PESEL, bo to nie jest zawodnik wiekowy.

Może właśnie przez te kontuzje brakuje mu od dłuższego czasu jakiegoś spektakularnego występu w kadrze. Zgodzi się pan z tym?

– Zgodzę. Rozmawiałem z nim, powiedziałem mu wprost: „Frankowski jest potrzebny reprezentacji w swej najlepszej dyspozycji. Natomiast... musi w niej być”.

Nie ma dnia, żeby ktoś gdzieś nie sugerował panu medialnie: „Pietuszewski”. Więc zapytam: Oskar dostanie od pana tego reprezentacyjnego „Oscara”, czyli powołanie?

– Media zawsze będą o kogoś pytać, zawsze będą chciały za mnie kogoś powołać. To jest normalne. Wracając do meritum: niejedną rozmowę odbyliśmy w sztabie na jego temat. Wiemy o wszystkim, co go dotyczy; wiemy, jak wygląda w klubie. I pamiętamy, że w meczu z Albanią nie będzie mógł zagrać Nicola Zalewski. Zobaczymy, jaki będziemy ostatecznie mieć wybór, i wtedy spokojnie zadecydujemy, co z Pietuszewskim.

A propos Zalewskiego: fajnie się w Atalancie prezentuje na tej „dziesiątce”, prawda?

– Tak naprawdę to przecież my mu w reprezentacji tę pozycję wymyśliliśmy, a trener klubowy – mam wrażenie – po prostu z naszego pomysłu skorzystał. I dobrze. Dla nas fajnie, bo grywaliśmy już na dwie „dziesiątki”. W ten sposób mamy więcej możliwości.

Możliwości, mam wrażenie, nie dostarczają panu za to legioniści, skoro ich klub jest w strefie spadkowej...

– W reprezentacji akurat Bartek Kapustka i Paweł Wszołek, bo o nich głównie mowa, nie zawodzili, gdy dostawali swoje minuty. A reprezentacyjną przeszłość mają jeszcze przecież Szymański, Piątkowski, Urbański, Reca... Natomiast kiedy drużynie nie idzie – a Legii ewidentnie nie idzie, czego dowodem jest sytuacja w tabeli – to nie jest łatwo grać na najwyższym poziomie.

> *„Kiedy drużynie nie idzie – a Legii ewidentnie nie idzie, czego dowodem jest sytuacja w tabeli – to nie jest łatwo grać na najwyższym poziomie”*

Uprzedził mnie pan, bo właśnie o stronę mentalną chciałem zapytać. Można być kandydatem do kadry, kiedy od wielu tygodni ma się – ze względu na wyniki klubowe – nos zwieszony na kwintę?

- Tak, to ważna kwestia. Kiedy zawodnicy są zdołowani bardzo mocno, dość trudno jest o to, żeby się w parę dni przestawili i w dobrej dyspozycji mentalnej przyjechali na kadrę. To są rzeczy, nad którymi trzeba się pochylić.

Zapytałem o tę mentalność, bo w takim „cugu” mentalnym i sportowym jest Bartosz Nowak, którego w sobotni wieczór miał pan okazję zobaczyć w Katowicach. Pytanie, czy 32 lata to wciąż dobry moment na debiut w kadrze?

– Każdy moment jest dobry, jeśli dobra – w sensie: reprezentacyjna – jest dyspozycja sportowa. Ale ważna też – po pierwsze – jest kwestia tego, jakie masz możliwości wyboru i ewentualną alternatywę dla takiego powołania. Po drugie – Bartek ma swoje atuty, ale ma też swoje minusy, i nietrudno się domyślić jakie. W piłkę gra świetnie: potrafi strzelić bramkę, potrafi zagrać doskonałe podanie. Ja lubię takich zawodników, bo ich się po prostu przyjemnie ogląda. Ale zawsze pozostaje kwestia tego, czy to jest poziom reprezentacyjny. Pojawia się dylemat, czy jednak – mimo wszystko – nie postawić na kogoś innego, z klubu zagranicznego. Bo nawet jeśli grywa rzadziej, to gra na innym poziomie, stawiającym inne wymagania.

W szeregach Górnika pojawił się Paweł Bochniewicz.

– Tak, były reprezentant Polski. Wiedziałem, że trenuje normalnie w Zabrzu, i że jest szansa na jego występ, więc rzeczywiście chciałem go przy okazji zobaczyć. Można powiedzieć, że zagrał poprawnie, bez jakichś wielkich „łał”.

A może wpisał pan kogoś nieoczywistego do swojego selekcjonerskiego notesu?

– Nie musimy robić takich zapisków, bo wiemy, kogo i gdzie warto oglądać. Nie mówimy przecież wyłącznie o 11 zawodnikach, którzy będą grali, czy 16, którzy mogą zagrać, ale też o tych, którzy są numerami 22, 23, 24, 25. Przed nami są dwa spotkania, być może powołamy na nie więcej zawodników niż zwykle.

> *„Bartek Nowak ma swoje atuty, ale ma też swoje minusy, i nietrudno się domyślić jakie. W piłkę gra świetnie: potrafi strzelić bramkę, potrafi zagrać doskonałe podanie. Ja lubię takich zawodników, bo ich się po prostu przyjemnie ogląda. Ale zawsze pozostaje kwestia tego, czy to jest poziom reprezentacyjny”*



Fot. Pro Shots/SIPA USA / Press Focus

Nowa rola Jakuba Modera (przy piłce)? W ligowym meczu Feyenoordu z Utrechtem zagrał jako środkowy napastnik!

Zapytam jeszcze o pańską opinię na temat Górnika. Minął niespełna rok od momentu, gdy podziękowano panu w Zabrzu, a to już zupełnie inna drużyna...

– Inna, ale po pierwszej rundzie miała 30 punktów – tyle samo, co wtedy, kiedy byłem trenerem. Tyle że teraz kandydaci do mistrzostwa tracili jesienią dużo punktów, co wykorzystały takie drużyny jak Wisła Płock i Górnik właśnie. Stąd drugie miejsce Zabrzan po jesieni; nam identyczny dorobek dawał szóste miejsce. Co nie zmienia faktu, że Górnik zrobił swoje. Ma naprawdę fajną drużynę do tego, żeby powalczyć o europejskie puchary.

Zastanawiam się natomiast, czy kibice – miast Bastiena Donio, Mathiasa Sauera i jeszcze paru innych – nie woleliby widzieć w kadrze i na boisku Dominika Szalę, Dominika Sarapatę, Aleksandra Tobolika, Kamila Lukoszka...

– Nie chciałem poruszać tego tematu, ale skoro pan zapytał... Ilu Polaków zagrało w Katowicach w wyjściowym składzie Górnika?

Janicki, Bochniewicz i Łubik w bramce.

– No widzi pan: to jest obranie innego kierunku, innej filozofii budowy zespołu.

Tylko jak tu promować własną akademię, o której tyle się mówi?

– Wy, jako media, często pytacie, w jakim kierunku idzie polityka tego czy tamtego klubu. Jeśli będą w Zabrzu europejskie puchary, to ktoś powie: „Opłaciło się”. Ale czy się to opłaca na dłuższą metę? Przez te moje lata zawsze była jakaś możliwość sprzedaży zawodników: i młodych Polaków, i młodych obcokrajowców, których „oszlifowaliśmy” w Zabrzu, jak Ennali czy Yokota. Cóż, każdy ma swoje przemyślenia, swój pomysł na to, jak zrobić jak najlepszy wynik. Nie dziwię się trenerowi, który chce ten wynik zrobić, bo po to był zatrudniany. I nie musi myśleć o tym, żeby Górnikowi wykreować młodych chłopaków. Choć gdyby mu to jasno powiedziano, musiałby to robić.

Lech też chce robić wynik, ale ma na boisku Gurgula, Mońkę, o Kozubalu już nie wspominając.

– Czyli się da...

Da. Swoją drogą zerka pan czasem na tych chłopaków?

– Zerkam, gdy grają. Ale pamiętam też, że jest jeszcze Jurek Brzęczek i jego kadra. Czasem lepiej, gdy ten pierwszy krok jednak wykonuje się w młodzieżówce.

To jeszcze jedno nieoczywiste pytanie. Kiedy obudził się pan w sobotni poranek i usłyszał, co się dzieje na Bliskim Wschodzie, zadrżał pan o los mundialu?

– Na razie nie, ale uważnie patrzę na rozwój sytuacji. Z odrobiną niepokoju, bo to może się skończyć różnie, przejść w większą skalę.

Jak się dzisiaj spojrzy na „pokojową nagrodę FIFA”, którą niedawno prezydent Trump otrzymał z rąk Gianniego Infantino, to... nieco dziwnie to wygląda.

- Trudno czasami ten świat zrozumieć, prawda?

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Sport fa29b4d0b9

Utrzymali nerwy na wodzy

Po wyczerpującej batalii GKS Katowice pokonał Widzew Łódź w serii rzutów karnych.

GKS Katowice – Widzew Łódź
1:1 (1:1, 1:0) 4:2 w karnych

1:0 – Klemenz, 28 min, 1:1 – Zeqiri, 53 min

GKS: Strączek – Czerwiński (106. Kusk), Jędrych, Klemenz – Wasielewski, Kowalczyk (84. Milewski), Rasak, Galan (84. Jirka) – Markovic (53. Wędrychowski), Szkurin (84. Wdowiak), Nowak. Trener Rafał GÓRAK.

WIDZEW: Drągowski – Wiśniewski, Andreou, Kapuadi – Krajewski (90+1. Isaac), Shehu, Lerager (90+1. Selahi), Kozlovsky (106. Cheng) – Kornvig, Zeqiri (84. F. Alvarez), Bergier (113. Fornalczyk). Trener Igor JOVICEVIĆ.

Sędziował Wojciech Myć (Włodawa). **Żółte kartki:** Klemenz, Kowalczyk, Strączek – Bergier, Andreou, Shehu.

Niecały miesiąc temu Widzew zawitał do Katowic, żeby rozegrać ligowy mecz z GKS-em. Wówczas przegrał 0:1 po golu Lukasa Klemenza. Ekipa Igora Jovicevicia powróciła do stolicy województwa śląskiego, żeby odegrać się na GieKSie w Pucharze Polski i udowodnić swoim kibicom, że potrafi grać w piłkę. Łodzianie chcieli polepszyć atmosferę wokół zespołu, która nie jest najlepsza z uwagi na to, że znajdują się w strefie spadkowej i w ekstraklasie prezentują się kiepsko. W 2026 roku wygrali tylko raz, pokonując Wisłę Płock w starciu, które było wypełnione błędami sędziów wpływającymi na wynik (2:0). Widzew miał się przebudzić, miał się odblokować, miał uszczęśliwić kibiców, awansując do półfinału rozgrywek.

Problem w tym, że GKS jest rozpędzony. I choć nie było tego widać w grze, ponieważ to Widzew był częściej przy piłce, potrafił znaleźć się w polu karnym Rafała Strączka, to… Katowiczanie i tak dopięli swego. W 28 minucie katem Widzewa znów stał się Klemenz. Środkowy obrońca w tym sezonie zdobył pięć goli w lidze, a wczoraj ustrzelił premierowego w bieżącej edycji Pucharu Polski. Świetnie odnalazł się w polu karnym, gdy piłkę delikatnie dośrodkował Alan Czerwiński. Katowicki obrońca odwrócił się i mocnym uderzeniem pokonał Bartłomieja Drągowskiego. Zapowiadało się więc na kolejną wpadkę Widzewa, tym bardziej że GieKSa do końca pierwszej połowy jeszcze raz poważnie zagroziła Drągowskiemu. Po genialnym podaniu Bartosza Nowaka Ilja Szkurin znalazł się w sytuacji sam na sam, ale jego uderzenie fantastycznie obronił łódzki golkiper.

Mogliśmy być pewni, że po przerwie emocji nie zabraknie. Choć widowisko nie należało do szczególnie atrakcyjne, to w poczynaniach piłkarzy obu ekip było widać, jak bardzo zależy im na wygranej. Iskrzyło szczególnie w pojedynkach Sebastiana Bergiera, byłego napastnika GKS-u obecnie grającego w Widzewie, z defensorami z Katowic. Po jednej z przepychanek i ostrej wymianie zdań został on ukarany żółtą kartką razem z Klemenzem.

Po zmianie stron Widzew ruszył do odrabiania strat i w kilka minut doprowadził do wyrównania. Zespół trenera Igora Jovicevicia zaskoczył gospodarzy sprytnym wykonaniem rzutu wolnego. Zamiast dośrodkowywać, Juljan Shehu zagrał po ziemi do niepilnowanego Samuela Kozlovsky'ego. Ten zgrał do środka, gdzie dobrze ustawiony był Andi Zeqiri, który z kilku metrów wpakował piłkę do siatki. Spotkanie niejako znowu się rozpoczęło, a GieKSa przez kilka kolejnych minut musiała być czujna w defensywie, bo Widzew chciał pójść za ciosem i wyjść na prowadzenie. Kilkuminutowe oblężenie bramki udało się podopiecznym Rafała Góraka przetrwać i tempo meczu się uspokoiło. Było na tyle spokojnie, że remis utrzymał się do 90 minuty. Doszło więc do dogrywki.

W niej bardzo bliski gola był Mateusz Wdowiak. Rezerwowy GieKSy otrzymał podanie z prawego skrzydła od Alana Czerwińskiego i uderzył nożycami. Piłka wpadła do siatki, ale sędzia liniowy podniósł chorągiewkę. Analiza VAR trwała długo, a gol nie został uznany z powodu centymetrowego spalonego podającego. Był to pierwszy sygnał do tego, że kibice powinni szykować się na serię rzutów karnych. Mogło się to zmienić, bo Widzew rozruszał się jeszcze na ostatnie minuty dogrywki, gdy na placu gry zameldował się przebojowy Mariusz Fornalczyk. W ostatniej chwili idealnie dograł do Frana Alvareza, ale Hiszpan chybił. Niedługo potem sędzia zarządził rzuty karne.

Stawką był półfinał Pucharu Polski, więc piłkarzom towarzyszyły ogromne nerwy. Cały stadion oglądał ostatnią fazę rywalizacji na stojąco. W tej psychologicznej wojnie lepsi okazali się zawodnicy z Katowic. Rafał Strączek, który próbował wyprowadzić z równowagi łódzkich zawodników i został za to ukarany żółtą kartką, już w pierwszej próbie obronił uderzenie Frana Alvareza. Później Fornalczyk przestrzelił, uderzając wysoko ponad poprzeczką, jako że żaden strzelający zawodnik GieKSy się nie pomylił, to ekipa Rafała Góraka awansowała do kolejnej rundy.

Kacper Janoszka



Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Lukas Klemenz i Rafał Strączek mieli największy udział w tym, że GieKSa awansowała do półfinału.

PRZYPADEK?

■ Mecz GKS-u z Widzewem z trybun oglądał Grzegorz Kurdziel, który był asystentem Czesława Michniewicza w 2023 roku, gdy obaj pracowali w saudyjskim Abha Club. W poprzednim tygodniu pojawiły się plotki o tym, że nowym trenerem Widzewa ma zostać właśnie Michniewicz. Czy to przypadek, że jego współpracownik pojawił się przy Nowej Bukowej we wczorajszy wieczór?

Totalne waria

Rozmowa z **Jarosławem Klauzo**, prezesem



Fot. Łukasz Laskowski / Press Focus

Prezes Jarosław Klauzo (z lewej) jest już mocno zaprawionym w boj

Po raz czwarty Chojniczanka zagra w ćwierćfinale Pucharu Polski. Będzie ten pierwszy półfinał?

– Jeśli pyta pan o takie moje odczucia wewnętrzne, to myślę, że to jest ten moment. Czujemy, że powinno udać się to zrobić.

Emocje przed meczem z Zawiszą już się udzielają?

– Przyznam, że od poniedziałku już to czuć. Wcześniej żyliśmy ligą, a teraz gdzie się człowiek nie poruszy, to każdy już o tym Pucharze Polski mówi. Czuć to już mocno zarówno na mieście, jak i w klubie.

Ale jeszcze prezes śpi spokojnie?

– Po dziewiętnastu latach pracy w klubie już śpię w miarę dobrze przed meczami. To przychodzi z czasem.

Trener Marek Brzozowski w jednym z wywiadów jakiś czas temu mówił, że on logistycznie jest zadowolony z wylosowania Zawiszy. Pan podziela ten pogląd, czy wolałby, żeby jedna z wielkich marek zawitała do Chojnic?

– Podzielam zdanie trenera. Jeżeli mamy zrobić historyczny wynik, którego jeszcze nigdy tu nie było, to jest dobre losowanie, choć rywal jest bardzo trudny i wymagający. Logistyka faktycznie jest dobra, bo mecz odbywa się pomiędzy naszymi dwoma meczami wyjazdowymi. W piątek byliśmy w Bielsku-Białej, a w niedzielę gramy w Kaliszu. Gdybyśmy musieli jechać przykładowo do Świdnika, to byłby duży problem. Z takiego punktu widzenia Zawisza jest idealnym rozwiązaniem, bo wyjedziemy do nich w dniu meczu. Aspekty sportowe również nie są bez znaczenia, szanse oceniam 50 na 50. Na pewno są wyższe niż w meczu z Lechem, Widzewem czy GKS-em Katowice.

Na pewno tak, choć jest to trochę mecz-pułapka: teraz to Chojniczanka jest faworytem.

– Pytanie, jak na to patrzeć. Nie mam takiego przekonania, że jesteśmy faworytem tylko dlatego, że gramy w wyższej lidze. Zawisza już teraz jest zbudowany na awans do II ligi (na razie zajmuje tylko drugie, barażowe miejsce w grupie II Betclic 3. Ligi – przyp. red.), potencjały obu zespołów są bardzo zbliżone. Może to brzmi nieco trywialnie, ale zadecyduje dyspozycja dnia, trochę szczęścia, ewentualnie błędy indywidualne jednego czy drugiego zespołu.

Awans do półfinału to wielki prestiż, ale też wymierne korzyści finansowe.

– Nie da się ukryć, że aspekt finansowy, te środki, które można coś bardzo złego się nie przytrafiło.

PUCHAR POLSKI - ĆWIERĆFINAŁY

Środa, 4.03.
■ 17.30: Zawisza Bydgoszcz - Chojniczanka (TVP Sport)
■ 20.30 : Lech Poznań - Górnik Zabrze (TVP Sport)

Czwartek, 5.03.
■ 13.30 : Avia Świdnik - Raków Częstochowa (TVP Sport)

Nie da się ukryć, że ten PP to taki słodki cukierek na dość gorzką ligę. Jest pan mocno rozczarowany miejscem Chojniczanki w połowie tabeli II ligi?

– Rozczarowanie oczywiście jest, ale cały czas walczymy. Najgorszy moment był tuż po starcie rozgrywek. Po zmianie trenera to wszystko zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Jesteśmy inną drużyną, która prezentuje się zdecydowanie lepiej. Punkty trzeba jednak wydrzeć w każdym meczu, a jest o nie bardzo ciężko. Z Podbeskidziem prowadziliśmy 2:0, a skończyło się remisem. Runda rewanżowa zawsze jest też dużo trudniejsza, bo tu już każdy gra o coś. Musimy być bardzo uważni w każdym meczu, żeby na koniec

No właśnie, wierzy pan jeszcze w awans poprzez baraże, czy bardziej trzeba się oglądać za siebie, żeby nie zamieszać się w walkę o utrzymanie?

– Wydaje mi się, że te baraże o awans są jeszcze możliwe. Zobaczymy, co przyniosą najbliższe spotkania, ale na pewno nie jest to coś nieosiągalnego. Jeszcze ważniejsze jest jednak to, żeby nie wpaść do tego kotła na dnie tabeli, a ten ogień lekko już czuć…

Na czele znajduje się Unia Skierniewice, w czołówce są również Podhale Nowy Targ, Warta Poznań czy Świt Szczecin. Może kluczem do sukcesu w tej lidze wcale nie jest najwyższy budżet?

– Na pewno nie można wyciągać tak daleko idącego wniosku. Jest takie powiedzenie, że pieniądze nie grają i jak widać na wspomnianych przypadkach może to znaleźć potwierdzenie, ale patrząc choćby na Unię Skierniewice, to jest ich najtańszy sezon, bo są beniaminkiem. Każdy kolejny będzie już tylko droższy. Czy będą grali w II lidze, czy awansują, to nakłady mocno będą musiały się zwiększyć. Na początku zawsze można zrobić coś fajnego po bardzo niskich kosztach. W kolejnym sezonie piłkarze nie będą tam już jednak grać za takie pieniądze. Chcąc dłużej utrzymać się na niezłym poziomie w lidze centralnej, trzeba ciągle pozyskiwać nowe środki, ja już to przerabiałem. W perspektywie czasu, jeśli brakuje środków, to okazuje się, że bez nich ciężko jednak jest o jakość, a to wcześniej czy później odbija się na wynikach. Piłka stała się też niesamowicie nieprzewidywalna, widzimy to w trzech najwyższych ligach w Polsce, gdzie

Sport fa29b4d0b9

actwo

Chojniczanki



jach działaczem.

tabele tak naprawdę postawione są do góry nogami. Kto byłby w stanie przewidzieć, że Zagłębie Lubin po 23 kolejach będzie wiceliderem ekstraklasy? W tej chwili nie ma przepisu na sukces, zapanowało totalne wariactwo.

Chojniczanka przez lata kojarzyła się z bardzo prężnym klubem biznesu, mnóstwem sponsorów na koszulkach. Te relacje sponsorskie udaje się utrzymać?

– Tak, klub biznesu jest fundamentem organizacyjnym i finansowym naszego klubu. Bez niego nie bylibyśmy w tym miejscu i nie moglibyśmy cały czas walczyć i ciągle marzyć. Nie jest jednak też tak, że w Chojnicach jest kraina mlekiem i miodem płynąca. Problemy gospodarcze i zewnętrzne uwarunkowania nas dotykają, bo to są trudne czasy dla sportu. Wciąż zwiększamy budżet, ale siła nabywcza złotówki cały czas spada i jest coraz trudniej. Musimy szukać kolejnych firm, żeby móc utrzymać ten poziom klubu.

Ciężko jest obecnie funkcjonować w realiach II ligi mimo sponsora tytularnego oraz telewizji?

– Nie chciałbym, żeby to źle zabrzmiało, bo każde pieniądze trzeba doceniać, ale te środki, o których pan mówi, to są na przysłowiowe „waciki". Mówi się, że III liga jest najdroższa i pewnie jest w tym dużo racji, ale w naszej też nie jest łatwo. Wpływy zewnętrzne są na poziomie 10 procent tego, co w I lidze, a koszt utrzymania klubu tam na pewno nie jest 10-krotnie wyższy. To najlepiej pokazuje tę trudność zarządzania klubem w II lidze. Otrzymujemy 250 tysięcy zł wsparcia rocznie z tytułu praw telewizyjnych oraz od firmy Betclic. W I lidze to jest ponad dwa miliony złotych. W systemie Pro Junior System te różnice również są znaczne, odpowiednio 6 i 12 mln zł. Dziś I i II liga to są dwa różne piłkarskie światy. Awans na pewno pomógłby nam lepiej funkcjonować i wykonać kolejny krok do przodu.

Rozmawiał Mariusz Rajek

Najlepszą rzeczą jest mecz

Rozmowa z **Pawłem Bochniewiczem**, stoperem Górnika Zabrze

Za panem – w Katowicach – pierwszy mecz w wyjściowym składzie Górnika. Ze słupkiem, karnym z VAR-u, ale finalnie przegrany. Szczęście się od was odwróciło?

– Nie wiem, czy to jest szczęście, czy raczej jego brak. Jeśli to się wydarza któryś raz, to już nie jest przypadek. Powinniśmy po prostu zamknąć ten mecz w pierwszych minutach drugiej połowy, kiedy mieliśmy sporo sytuacji. Potem oddaliśmy inicjatywę. Bartek Nowak dał superpiłkę pomiędzy nas i wiemy, jak się skończyło. Owszem, były później jeszcze jakieś kontrowersje, których nie chcę komentować, bo z boiska ciężko ocenić niektóre sytuacje. Natomiast bardziej bym winił nas samych za końcowy wynik niż sędziów czy brak szczęścia.

A jakie są pańskie wrażenia z polskich boisk po pięcioletniej nieobecności?

– Słodko-gorzki ten powrót. Generalnie nie grałem w piłkę przez 15 miesięcy (zerwane więzadło krzyżowe – dop. aut.), więc prawie się popłakałem, gdy wchodziliśmy na murawę i zobaczyłem tyle ludzi, wielką flagę. To jest właśnie to, o co walczyłem, starając się o powrót na boisko. Oczywiście, że najlepiej byłoby, gdybyśmy wygrali, a ja bym ustrzelił hat trick, ale tęskniłem nawet za tymi meczami, w których nie idzie, po których trzeba w głowie przetrawić błędy. Po prostu tęskniłem...

A jak odwrócić ten „górniczy" trend, czyli kolejny mecz bez punktów?

– Na pewno z boiska nie czułem, żebyśmy byli gorsi od GieKSy. Tak jak wcześniej, oglądając mecz z Pogonią z boku, też nie miałem wrażenia, że chłopaki są słabsi od Szczecinian. Po prostu musimy w kluczowych momentach kończyć akcje, które tworzymy. Tak jest w tym sezonie w lidze, że rzadko kiedy jedna drużyna jest znacznie lepsza od drugiej. Wygrywa ta, która „przepchnie" mecz, a my właśnie tego w ostatnich kolejkach nie potrafimy zrobić.

Widzi pan w szatni, że zaczyna trochę brakować wiary w siebie?

– Wiadomo, że jak się wygrywa 15 meczów z rzędu, to jest lepiej. Łatwiej się gra, kiedy jesteś w tym „flow" i wszystko idzie zgodnie z planem, ale sport zawodowy polega na tym, żeby w momentach błędów złe myśli jak najszybciej odrzucać, za to żyć chwilą, tu i teraz, kolejnym zadaniem do wykonania. Teraz też tak naprawdę trzeba się przespać i lecieć dalej, bo zaraz kolejny mecz, a wracając do pytania: nie, nie czuję tego, żebyśmy byli jacyś podłamani czy coś z tych rzeczy. Nie ma co panikować.

Wspominał pan zawsze, że lubi grać mecze co trzy dni. Myśli pan, że w Katowicach zrobił pan krok do tego, żeby na mecz pucharowy w Poznaniu znowu wyjść w jedenastce?

– Nie wiem, jest mi bardzo trudno analizować własne mecze, zwłaszcza na gorąco. Zazwyczaj jestem bardzo krytyczny co do swojej gry, więc i tym razem widziałem rzeczy, które są do poprawy. O wszystkim zaś decyduje trener i jeśli będzie chciał, żebym zagrał, jestem do dyspozycji. Najlepszą rzeczą w życiu piłkarza jest mecz, a nie trening, a ja, będąc ponad rok poza tym wszystkim, jestem głodny tych meczów.

Pokusi się pan już o pierwsze wnioski na temat naszej ligi? Bardzo się różni od tej, z której pan ponad pięć lat temu wyjeżdżał?

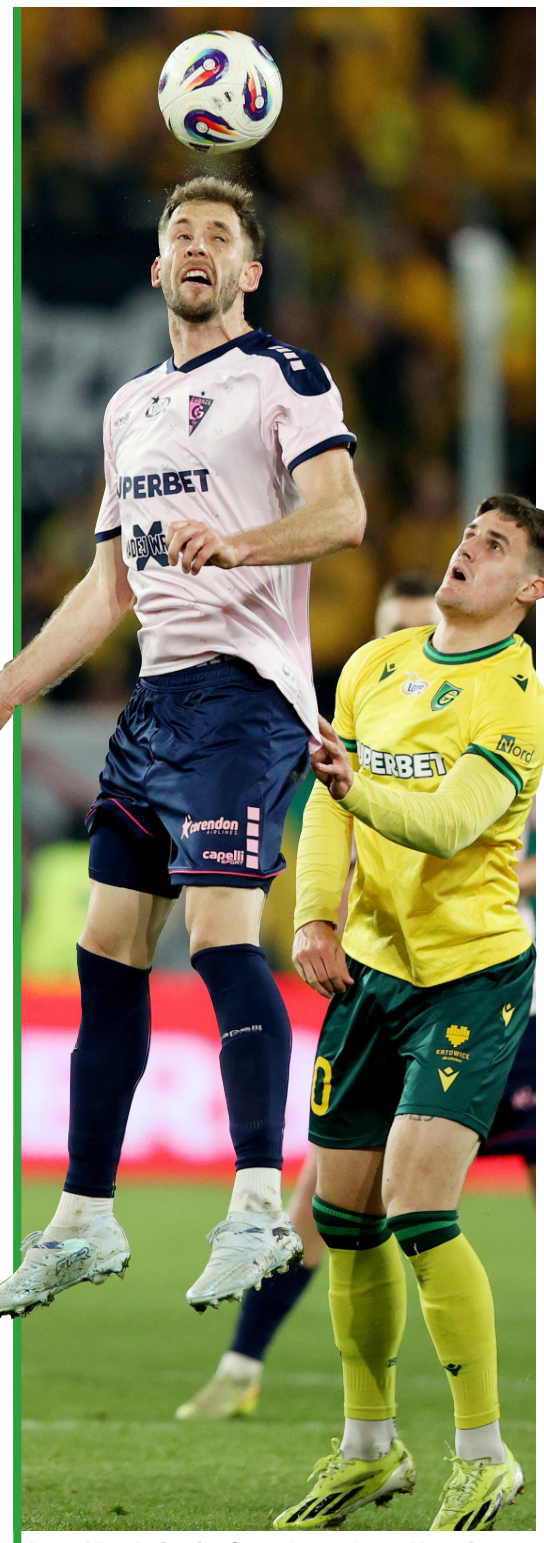
– Trudno mi stwierdzić po jednym meczu. Kiedy pojedziesz do innego kraju i zobaczysz ładną dziewczynę, nie powiesz na bazie tej jednej obserwacji, że wszystkie dziewczyny tu są ładne. Potrzeba mi dużo więcej czasu, żebym mógł oceniać różnice sportowe. Na pewno cała otoczka ligi jest top. Top wręcz światowy!

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

DUET ZWYCIĘSKI

■ Blisko trzy lata czekają na wygraną w Poznaniu zabrzańscy piłkarze. W kwietniu 2023 zwyciężyli przy Bułgarskiej 1:0 po trafieniu Daisuke Yokoty. Japończyka nie ma już w Górniku, podobnie jak ośmiu innych graczy ówczesnej wyjściowej jedenastki gości. Szansę ponownego występu mają jedynie Paweł Olkowski i Erik Janża. Tego ostatniego nie było w sobotę w Katowicach, ze względu na chorobę. Nie ma też pewności, że w środę będzie w pełni sił, choć do autokaru wsiadł, podobnie jak Brandon Domingues, również nieobecny ostatnio na Nowej Bukowej.

(DaL)



Paweł Bochniewicz fruwał wysoko na Nowej Bukowej, ale Górnik przegrał...

Historia się powtórzy?

Lech ostatni raz zagrał w finale Pucharu Polski, kiedy po drodze ograł Zabrzan.

LECH POZNAŃ

Puchar Polski to rozgrywki, które w Poznaniu przywołują dawne dobre wspomnienia, bardzo dawne. Kibice w Wielkopolsce na to trofeum czekają już od blisko 17 lat! Ostatnie zwycięstwo to sezon 2008/2009, kiedy Lechici prowadzeni przez Franciszka Smudę pokonali Ruch Chorzów po golu Sławomira Peszko. To wszystko miało miejsce na Stadionie Śląskim. Od tamtych lat wiele się zmieniło, ale Kolejorz dalej nie umie triumfować w pucharze. Chociaż mistrzowie Polski grali od tego czasu już w kilku finałach, to jednak za każdym razem czegoś brakowało, żeby wygrać.

Ostatni taki przypadek to sezon 2021/22. Kibice widzą podobieństwa tamtych rozgrywek do aktualnych. Wtedy na etapie ćwierćfinału Lechici także zmierzyli się z Górnikiem, wygrywając 2:0. Dubletem popisał się Joao Amaral, ale to starcie z obecnej kadry Lecha pamięta tylko czterech zawodników: Mikael Ishak, Radosław Murawski, Joel Pereira i Mateusz Skrzypczak. Wtedy, po zwycięstwie z Olimpią Grudziądz w półfinale, Kolejorz w decydującym starciu spotkał się z Rakowem, który wygrał 3:1. Teraz Poznaniacy ponownie chcą przejść Zabrzan, ale potem liczą na lepsze rozstrzygnięcia.

Lechici po imponującym zwycięstwie odniesionym nad Rakowem w niedzielę (4:3) i serii sześciu kolejnych wygranych we wszystkich rozgrywkach podejmą rywala, który znajduje się w zupełnej innej sytuacji. Zawodnicy Górnika szukają formy z rundy jesiennej, ale trener Niels Frederiksen przestrzega przed lekceważeniem rywali. – Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek czuli obawy przed jakimkolwiek przeciwnikiem, ale to nie zmienia faktu, że Górnik Zabrze ma po swojej stronie dużo jakości. Widzieliśmy to wyraźnie, kiedy grał z nami cztery tygodnie temu. To był trudny mecz i takiego teraz też oczekujemy – zwrócił uwagę duński szkoleniowiec.

Kalendarz mistrzów Polski jest bardzo napięty i grają oni praktycznie co trzy dni. Z tego powodu trener Frederiksen musi odpowiednio zarządzać siłami swoich zawodników. – Piłkarze wolą grać niż trenować i prawdę mówiąc, obecnie nie mamy mocnych treningów. Dozujemy obciążenia przez pryzmat minut, jakie mają w nogach poszczególni zawodnicy. Nie zamierzamy narzekać na to, że gramy na trzech frontach, wręcz przeciwnie – bardzo się z tego cieszymy – podkreślił opiekun Lechitów.

Duńczyk potwierdził, że ponownie zabraknie Filipa Jagiełły, który wciąż nie jest gotowy do gry po kontuzji, której doznał w meczu z Koroną. Środkowy pomocnik robi jednak postępy i być może znajdzie się w kadrze na sobotni mecz z Widzewem. W starciu z Łodzianami na pewno natomiast zabraknie Antoniego Kozubala oraz Antonio Milicia, którzy będą pauzowali za nadmiar żółtych kartek. Można się zatem spodziewać, że obaj wyjdą w podstawowej jedenastce na mecz z Górnikiem, ponieważ czas na odpoczynek będą mieli w weekend.

Miłosz Cebo

Sport fa29b4d0b9



Fot. Łukasz Sobala / PressFocus

Inwestycja w Łukasza Piszczka okazała się błędem tyskich działaczy.

Na samym dnie

Cierpliwość kibiców GKS-u Tychy już się skończyła. Drużyna, mimo ogromu transferów zimą, szoruje po dnie tabeli I ligi.

GKS TYCHY

Gdy Łukasz Piszczek przejmował drużynę GKS-u Tychy, trójkolorowi zajmowali 16. miejsce w tabeli i mieli „oczko" straty do zespołu znad strefy spadkowej. Po siedmiu spotkaniach pod wodzą 66-krotnego reprezentanta Polski Tyszanie znaleźli się na samym dnie, a strata do bezpiecznego miejsca urosła do sześciu punktów. Nic więc dziwnego, że kibice klubu, który w tym roku obchodzi 50-lecie zdobycia wicemistrzostwa Polski, są mocno zaniepokojeni. Dali zresztą termu wyraz po ostatnim gwizdku niedzielnego spotkania z Puszczą Niepołomice. Głośno i dobitnie powiedzieli piłkarzom, co myślą o ich grze i wezwali do zdobywania punktów.

W tej wybuchowej atmosferze spokój próbuje zachować szkoleniowiec, ale trenerski debiutant na pierwszoligowym poziomie nie ma doświadczenia i nie wie, jak poradzić sobie w takiej sytuacji, w której frustracja – także wśród piłkarzy – miesza się ze sportową złością.

Stara się hamować

– W szatni jest jedno i drugie – stwierdził trener tyszan. – Jako sportowiec nie chcesz przegrywać i to na pewno siedzi w każdym. Ja w sobie też mam bardzo dużo takich emocji, które staram się hamować, ale niestety przy takiej serii nie jest to łatwe.

Ta seria to siedem spotkań bez zwycięstwa. Mało tego, zespół pod wodzą Łukasza Piszczka zdobył zaledwie dwa punkty, a bilans bramkowy 6:16 nie wymaga komentarza. Wymaga za to szybkiej reakcji.

Czas na przemyślenia

– Ja zawsze po meczu, obojętnie jakim, staram się w „pierwsze tempo" nie reagować – dodał trener GKS-u Tychy. – Daję sobie czas na to, żeby przemyśleć. Dopiero później będziemy analizować spotkanie oraz całą sytuację – powiedział.

Czasu na analizę nie ma zbyt dużo, bo już w piątek o 20.30 Tyszanie zmierzą się w Mielcu ze Stalą. Jeden rzut oka na tabelę wystarczy, żeby wiedzieć, że dla zespołu Łukasza Piszczka jest to spotkanie ostatniej szansy. Drużyna Ireneusza Mamrota zajmuje bowiem 16. miejsce w tabeli i porażka trójkolorowych sprawi, że GKS zostanie „przybity" do dna.

Poprawy nie widać

Co gorsza, dla sympatyków z Tychów realnych przesłanek poprawy w grze piłkarzy z trójkolorowym trójkątem na piersi nie dostrzegamy. W dodatku słowa ich szkoleniowca też mocno już wyblakły. Zapowiedzi z początku rundy wiosennej brzmiały tak: „Nie chcę iść w żadne wymówki. Powiem tylko, że tego dnia byliśmy pod poziomem, do którego ta drużyna jest zdolna. Myślę, że w kolejnych meczach będzie to widać, jeśli chodzi o grę w piłkę".

Chybiona inwestycja

Powiedzmy sobie szczerze – nie widać. Nic więc dziwnego, że coraz częściej słyszy się sugestie o tym, że inwestycja działaczy GKS-u Tychy w bez wątpienia wielkie nazwisko w polskim piłkarskim świecie była chybiona. To, że ktoś był wielkim piłkarzem nie oznacza, że automatycznie zostanie wielkim trenerem. W przypadku Łukasza Piszczka efektów pracy, mimo zgrupowania w Turcji i aż dziewięciu transferów ciągle nie widać, a do końca sezonu coraz bliżej.

Jerzy Dusik

DOLNA CZĘŚĆ TABELI BETCLIC 1. LIGI *

14. Łęczna	7	6	7-9
15. Siedlce	7	6	4-8
16. Odra	7	4	3-11
17. Mielec	7	4	8-17
18. GKS	7	2	6-16

* od 12 listopada 2025 roku, czyli dnia, w którym Piszczek został trenerem Tyszan

Rozbudzone oczekiwania

Rozmowa z **Jarosławem Skrobaczem**, byłym trenerem Odry Opole

Czy decyzja zarządu Odry o rozwiązaniu kontraktu była dla pana zaskoczeniem?

– Wydawało się, że runda wiosenna w naszym wykonaniu rozpoczyna się dobrze, że wszystko jest poukładane. Po zwycięstwie na inaugurację z Pogonią Siedlce i remisie w Tychach można było nawet usłyszeć bardzo dużo pozytywnych opinii, ale coś pękło w drugiej połowie meczu we Wrocławiu (porażka 0:3, wszystkie gole stracone po przerwie – przyp. red.). Po nim mieliśmy bardzo trudny tydzień, bo przygotowania do spotkania ze Stalą Mielec „podszyte" były niewybrednymi epitetami pod kątem zawodników i moim. Wyglądało to źle, szczególnie w sferze mentalnej u piłkarzy, którzy przez cały tydzień słyszeli i czytali, że się do niczego nie nadają, mają oddać koszulki i tak dalej. Olbrzymia presja spowodowana tym, że oczekiwania były znacznie większe, „powiązała" nogi zawodnikom. Zagraliśmy naprawdę bardzo, bardzo słabo w niedzielę (porażka 0:2 w Opole – przyp. red.), bo głowy zawodników nie pracowały. Nie wychodziło nam nic od rozpoczęcia gry przez Adama Wójcika, poprzez niedokładność i nerwowość całej linii obrony oraz środka pola, aż po skrzydła i napastników. Nie zafunkcjonowało nic tak, jakbyśmy chcieli i nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Ale chyba nie tylko te 135 minut słabej gry drużyny sprawiły, że działacze podjęli kroki ostateczne? Zresztą już w środku minionego tygodnia, na przedmeczowej konferencji prasowej, padło pytanie o pana odejście. A to, co wykrzykiwali kibice na trybunach, można chyba nazwać wrogością i antydopingiem.

– Co ja mam w takim momencie powiedzieć? Zdobyliśmy 26 punktów, czyli o sześć więcej niż mieliśmy rok temu po 23 kolejkach, a cztery mniej niż uzbieraliśmy w całym poprzednim sezonie. Ponadto zespół ma dziewięć punktów przewagi nad strefą spadkową, czyli sytuacja w tabeli jest spokojna. To są fakty. Teoretycznie jest więc komfort, ale myślę, że te oczekiwania rozbudzone przed meczem ze Śląskiem Wrocław sprawiły, że po porażce 0:3 wszyscy – piłkarze i sztab szkoleniowy także – mieli olbrzymi niedosyt. Sam pan zauważył, że już przed pierwszym gwizdkiem meczu, który graliśmy u siebie, atmosfera na trybunach była negatywna, a wręcz dołująca. Ciężko mi się więc do tego odnieść, ale mówiąc szczerze, przez cały ten tydzień przed meczem ze Stalą czułem i można to było także wyczuć w rozmowach z zawodnikami, że wszystko, co zrobiliśmy zimą i na początku wiosny zostało przekreślone drugą połową we Wrocławiu.

Czy to znaczy, że w Opolu kibice żądają od zespołu awansu do ekstraklasy?

– Na pewno oczekiwania były wysokie. Mierzone chyba na skalę obiektu, który został wybudowany w Opolu. Ja na wielu konferencjach prasowych powtarzałem, że Odra ma zespół zbudowany z zawodników na miarę swoich możliwości finansowych. Na tym poziomie dokonywaliśmy też transferów. Szukaliśmy zawodników na konkretne pozycje, żeby wzmocnić drużynę i znaleźliśmy. Jest Adrian Liber, którego udało się pozyskać, a jest to zawodnik przerastający moim zdaniem I ligę. Sprowadziliśmy też Oliviera Sukiennickiego, Michała Feliksa i Krystiana Palacza. To na polskim rynku piłkarskim nie są zawodnicy anonimowi, ale udało się nam wydobyć ich z poprzednich klubów dlatego, że tam mieli swoje problemy. Ja znam tych piłkarzy i wierzę, że potrafią grać na wysokim poziomie, ale gdyby byli w doskonałej formie, to byliby podstawowymi zawodnikami Wieczystej, Wisły Kraków i Radomiaka. Nie byli i dlatego przyszli do Odry, żeby pokazać swój potencjał. Potrzebują jednak na to czasu i akceptacji w nowym środowisku, a nie wyzwisk. Na ocenę tych transferów na pewno przyjdzie czas na koniec rundy, ale to już nie będzie moje zadanie i powiem nawet, że w tej chwili jest mi niezręcznie o tym mówić. Ja już bowiem dzisiaj w Odrze nie pracuję.



Fot. Gleb Sobolev/PressFocus

Porażkę we Wrocławiu (0:3) Jarosław Skrobacz przypłacił głową.

Na co pana zdaniem stać Odrę w tym sezonie?

– Uczciwie od samego początku sezonu mówiłem, że jeżeli ktoś sobie wymarzył miejsce w szóstce to... ma do tego prawo, bo w sporcie zdarzają się różne sytuacje. Zresztą my też przed rozpoczęciem sezonu, czy nawet teraz przed rundą wiosenną, na odprawach drużyny stawialiśmy sobie wysokie cele. To jest normalne, bo w ten sposób dodatkowo motywuje się piłkarzy. Plan minimum zakładał spokojne utrzymanie, ale spoglądaliśmy też w kierunku pierwszej szóstki. Czy to było realne, ja nie wiem, ale chciałem wyzwolić większy mental w zespole, który jest ambitny. Proszę zobaczyć, jakie marki i jakie potencjały mają zespoły przed nami. Oczywiście możemy podawać przykład Chrobrego, ale co roku pojawiają się takie nieoczywiste zespoły, które znalazły się na zwycięskiej fali i poniosło ich wysoko. My też straciliśmy kilka punktów, których z przebiegu gry nie powinniśmy stracić, a gdybyśmy je mieli, bylibyśmy w tabeli na poziomie Ruchu, ŁKS-u czy Miedzi. Nie jesteśmy i dlatego kibice w Opolu, podobnie jak wszyscy inni fani, chcą, żeby ich zespół wygrywał i był wysoko w tabeli. We Wrocławiu zostaliśmy jednak zweryfikowani, a ja za to zapłaciłem rozwiązaniem kontraktu.

Rozmawiał Jerzy Dusik

Sport fa29b4d0b9



Fot. Marta Badowska / Press Focus

„Szczepek" liczy na kolejne trafienia w tym sezonie. Po powrocie do grania pierwsze ma już za sobą.

Długo na to czekałem

Rozmowa z **Danielem Szczepanem**, napastnikiem Ruchu Chorzów

Jak się pan czuje po kontuzji? Gotowość na 100 procent?

– Przepracowałem cały okres przygotowawczy, występowałem w sparingach, pojawiałem się na boisku w meczach ligowych, więc to najlepiej pokazuje, że jestem w pełni gotowy do gry. Nic mi nie doskwiera, czuję się dobrze i powoli wracam na swoje tory. Po tak długiej przerwie zawsze potrzeba trochę czasu, żeby złapać pełen rytm meczowy i automatyzmy, ale z każdym tygodniem wygląda to coraz lepiej.

Odczuwał pan, że w Chorzowie wyczekiwano pana powrotu? Trener Waldemar Fornalik wielokrotnie wymieniał pana nazwisko w kontekście jesiennych problemów.

– Na pewno czułem, że jest wiara w to, że wrócę i pomogę drużynie. Wsparcie ze strony trenera, kolegów z zespołu i kibiców było dla mnie bardzo ważne. Wszyscy trzymali kciuki za moje zdrowie, a to dodawało mi motywacji i energii do pracy.

Jak się pan czuł w pierwszym od wielu miesięcy meczu w pierwszym składzie, w Rzeszowie ze Stalą? Był stres czy raczej ulga?

– Przede wszystkim ogromna radość. Po tak długiej przerwie powrót do wyjściowej jedenastki to coś, na co się czeka. Była koncentracja i mobilizacja, ale bardziej pozytywne emocje niż stres.

Dużo mówiło się o dwóch niewykorzystanych sytuacjach z pierwszej połowy. Jak je pan ocenia?

– Z perspektywy napastnika wiem, że przynajmniej jedną z tych okazji powinienem zamienić na bramkę. Niestety tym razem się nie udało. Najważniejsze jest jednak to, że drużyna wygrała. Oczywiście analizuję takie momenty, wyciągam wnioski i pracuję nad tym, żeby następnym razem być skuteczniejszym.

Ruch ma patent na Stal Rzeszów?

– Czasami tak bywa w piłce, że jeden zespół drugiemu po prostu „leży". Widać, że mecze ze Stalą nam służą i oby ta seria trwała jak najdłużej.

Jak się rywalizuje z Marko Kolarem?

– Marko to bardzo dobry napastnik, o nieco innej charakterystyce niż moja. Rywalizacja między nami działa na korzyść drużyny. Zdrowa konkurencja podnosi poziom i motywuje do jeszcze cięższej pracy. Czy zagramy razem w duecie, to już decyzja trenera, ale jestem przekonany, że Marko jeszcze nieraz pomoże zespołowi.

Jak się trenuje u Waldemara Fornalika? Nauczył się pan czegoś nowego?

– U trenera widać ogromne doświadczenie. Myślę, że każdy piłkarz, pracując z nim, może zrobić duży postęp.

Kto w lidze robi na panu największe wrażenie?

– Liga jest w tym sezonie bardzo wyrównana. Różnice w tabeli są niewielkie, a do końca zostało jedenaście kolejek, więc wszystko jest otwarte. Wiosną bardzo dobrze prezentuje się Polonia Warszawa – to jeden z mocniejszych zespołów i poważny kandydat do walki o awans.

Co Ruch powinien poprawić?

– Nie wskazałbym jednej konkretnej rzeczy. Musimy być konsekwentni i powtarzalni w tym, co robimy dobrze. Wygrana w Rzeszowie, mimo gry w dziesiątkę przez całą drugą połowę, pokazała, że mamy charakter. Wierzę, że to będzie dla nas impuls na dalszą część rundy i że jeszcze damy kibicom sporo powodów do radości.

W każdym sezonie w Ruchu strzelał pan dwucyfrową liczbę goli. W tym też pan zdąży?

– Znam tę statystykę i oczywiście jest dla mnie powodem do satysfakcji, ale nie można żyć historią. Biorąc pod uwagę, jak wyglądał ten sezon, podtrzymanie tej passy byłoby sporym wyczynem. Podchodzę do tego spokojnie – idę z tygodnia na tydzień, skupiam się na każdym treningu, meczu i nawet pojedynczej akcji. Pierwsza bramka już padła, mam nadzieję, że kolejne będą przekładać się bezpośrednio na zwycięstwa drużyny.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Kilka problemów jest

Dobrze naoliwione na start sezonu Wiślackie mechanizmy zaczęły skrzypieć już na przełomie listopada i grudnia...

WISŁA KRAKÓW

Po remisie ze Zniczem u siebie nie trzeba wpadać w panikę, ale czas już na poważną dyskusję o tym, co nie działa i dlaczego.

Dużo remisów

Biała Gwiazda ostatni raz wygrała dwa razy z rzędu na przełomie października i listopada. Miała wtedy serię ośmiu spotkań bez porażki, z sześcioma kompletami punktów. Od tego czasu dała się pokonać tylko raz (Polonii Warszawa), ale zaliczyła pięć remisów. Wygrała tylko z fatalnie prezentującymi się Stalą Mielec i GKS-em Tychy. Podziały punktów z będącymi wysoko w tabeli Wieczystą Kraków i Pogonią Grodzisk Mazowiecki można było potraktować jako nie najgorsze rezultaty, bo mecze mogły się skończyć lepiej, ale i gorzej dla lidera. Spotkanie ze Zniczem miało otworzyć nowy, lepszy rozdział, a okazało się powtórką mieszanki problemów.

Wsparcie dla Letkiewicza

Trudno nie krytykować bramkarza Patryka Letkiewicza, za to jak zachował się w polu karnym przed straconą bramką. O ile błąd przeciwko Tyszanom można było tłumaczyć m.in. świetnym wyczuciem rywala, to w niedzielę argumentów na obronę nie było. - To był prosty błąd indywidualny. Natomiast wygrywamy jako zespół, przegrywamy jako zespół - tak będzie zawsze. Każdy, kto popełni błąd, będzie miał wsparcie od reszty grupy, od sztabu i tak samo będzie w tym przypadku - mówi trener Mariusz Jop. - Jest jednak duże rozczarowanie i złość przede wszystkim za sytuację, w której straciliśmy bramkę. Jak spojrzymy na statystyki i na obraz całego meczu, to w zasadzie rywal nie stworzył sytuacji, tylko my mu podarowaliśmy tę bramkę. Traktuję mecz absolutnie jako stratę dwóch punktów.

Co nie działa

Problemem Letkiewicza jest to, że gra nierówno. Był współwinny straty bramki z GKS-em, ale kilka razy uratował drużynę przeciwko Pogoni i był najlepszym piłkarzem derbów z Wieczystą. Czy należałoby go zmienić? Być może tak, ale popatrzmy, kogo Wisła ma jeszcze na pozycji bramkarza. To jeszcze bardziej niepewny Kamil Broda, który kilka razy wypuścił szansę z rąk, i Białorusin Anton Cziczkan, któremu kończy się umowa i nie planowano jej przedłużyć. Ostatnie oficjalnie spotkanie w pierwszym zespole zagrał w grudniu 2024, a w lidze we wrześniu tego samego roku.

Wisła w formie strzeliłaby Zniczowi trzy gole i błąd Letkiewicza nie miałby żadnego znaczenia. Od kilku spotkań jest problem ze skutecznością. Angel Rodado w tym roku zdobył dwie bramki, jednak łatwo można zobaczyć, że daleko mu do najwyższej formy. Jordi Sanchez po dołączeniu do zespołu jeszcze nie zagrał od początku. Potrzebuje czasu i furory nie zrobił, choć miał udział przy golu ze Zniczem. Przez większość jesieni motorami napędowymi Białej Gwiazdy byli skrzydłowi. Obecnie Frederico Duarte i Maciej Kuziemka są własnymi cieniami, mają trudności z wygrywaniem pojedynków. Choć trener Jop ocenił, że w niedzielę płynność gry się poprawiła, to wciąż można w tym aspekcie sporo dodać. Akurat u siebie Wiślacy nie mają prawa narzekać na murawę. Na jej utrzymanie duże środki łoży grający w pucharach w Krakowie Szachtar Donieck i obecnie to prawdopodobnie najlepsza płyta w Polsce.

Michał Knura



Fot. Michał Kędzierski / Press Focus

Maciej Kuziemka wciąż szuka najlepszej formy.

Sport fa29b4d0b9

Grabara świeci na czerwono

Czy reprezentant Polski spadnie z Bundesligi?

NIEMCY

Stuttgart bił i bezradny Wolfsburg tylko patrzył, czy równo puchnie. Szwaby pokonały Wilki 4:0 i zepchnęły je do strefy spadkowej. Jak na złość dla ekipy Volkswagena, wygrały Werder Brema oraz St Pauli i zremisował Mainz. W Dolnej Saksonii sprawy mają się coraz gorzej.

Pewnym paradoksem porażki ze Stuttgartem był fakt, że najwyżej ocenionym piłkarzem Wolfsburga został... bramkarz. Kamil Grabara po raz kolejny nie zawiódł. Przy straconych golach był bez szans, bo przeciwnicy wjeżdżali w jego obronę jak w masło, a dodatkowo raz pomógł im rykoszet. Golkiper z Rudy Śląskiej i tak obronił siedem uderzeń. To fatalny obraz klubu, który dysponuje siódmym najwyższym budżetem płacowym w Bundeslidze (niektórzy nawet twierdzą, że jeszcze wyższym). W środku nic się jednak nie zgadza – panuje wieloletni chaos, pomieszanie z poplątaniem, źle zbalansowana kadra (na papierze bardzo jakościowa), zderzające się sprzeczne koncepcje zarządzających. Wydawało się, że na początku tygodnia dojdzie do drugiego zwolnienia trenera w tym sezonie, ale Daniel Bauer – zatrudniony w listopadzie – na razie utrzymał posadę. Podobnie jak dyrektor zarządzający, Peter Christiansen (znajomy Grabary z Kopenhagi).

– Klub jest niezdrowy – powiedział wicekapitan Yannick Gerhardt, posiadający drugi najdłuższy staż w zespole (latem stuknie dekada). – Zbyt rzadko udaje się sprostać naszym standardom. Rozbieżność między aspiracjami a rzeczywistością jest ogromna. Musimy zaakceptować fakt, że walczymy o przetrwanie i o każdy punkt – dodał zawodnik, który dla Wilków zagrał 285 razy. Oliwy do ognia dolał sam trener Bauer, który skrytykował to, co dzieje się wewnątrz VfL. – Faktem jest, że musimy zmienić wiele struktur. Atmosfera i kultura, które panują w klubie, nie pasują do realiów Bundesligi. Potrzebujemy innego sposobu myślenia – Bauer zaatakował szefostwo, co niektórzy uznali za koniec jego pracy w Wolfsburgu. Na razie się jednak utrzymał. Zapowiedział jednak, że drużyna potrzebuje całkowitej zmiany taktycznej, którą zaprezentuje zapewne w kolejnym meczu, z beniaminkiem HSV. Grabara chyba powinien się już bać tych pomysłów...

Piotr Tubacki



Fot. VfL Wolfsburg

W Niemczech również funkcjonują „rozmowy wychowawcze" przy płocie. Tutaj kibicom Wolfsburga tłumaczy się Yannick Gerhardt.

PIERWSZY RAZ W SENIORACH!

■ Dariusz Stalmach otworzył swój dorobek bramkowy w Magdeburgu. Jego trafienie z Karlsruhe nic jednak nie dało, bo FCM przegrał 1:3. Dla 20-latka z Tarnowskich Gór był to pierwszy seniorski gol w karierze! Pomocnik dostał długie podanie, zgrał z pierwszej piłki do partnera i wyszedł na pozycję, otrzymał futbolówkę zwrotną i wykończył akcję. Wielkiej radości z tego jednak nie było. Magdeburg jest przedostatni w 2. Bundeslidze. – Potrzebujemy każdego punktu. Nie ma znaczenia, jak zdobywamy bramki – najważniejsze, by wygrywać. Każdy z nas chce grać w 2. Bundeslidze w przyszłym sezonie – powiedział Stalmach, który po trudnym półtoraroczu w Magdeburgu wreszcie zaczyna odgrywać jakąś rolę w zespole. Czasami nawet wybiega od początku, tak jak najlepszy strzelec drużyny, Mateusz Żukowski.

(PTub)

Dzieje się coś złego

Matty Cash i spółka muszą wziąć się w garść, aby nie wypaść z batalii o Ligę Mistrzów.

ANGLIA

Jeszcze kilka tygodni temu Aston Villa zajmowała relatywnie bezpieczną pozycję na najniższym stopniu podium, a teraz stoi przed ryzykiem zsunięcia się na 5. miejsce. Po znakomitej serii zwycięstw nie ma już śladu, bo w poprzednich ośmiu meczach The Villans wygrali tylko dwukrotnie, notując też trzy remisy i trzy porażki. Wiele punktów zostało zgubionych, a teraz może być jeszcze gorzej. Dzisiaj bowiem do Birmingham przybędzie goniąca Ligę Mistrzów Chelsea, a w następnej kolejce Aston Villa pojedzie na trudny teren nabierającego kolorytu Manchesteru United.

Czarę goryczy przelała porażka z ostatnim w Premier League Wolverhamptonem. Skrytykowany za ten mecz został Matty Cash, którego występ angielskie media określały jako „do zapomnienia". Reprezentant Polski to pewniak w talii trenera Unaia Emery'ego i to się raczej nie zmieni, ale zarówno on, jak i jego koledzy muszą wziąć się w garść. Pośród najlepszych 11 drużyn angielskiej elity tylko będący na 8. miejscu Everton (32) strzelił mniej goli od Aston Villi (38). Przez długi czas w drużynie występowała dywersyfikacja zdobywców bramek, która teraz skupiła się mocniej na Ollie'm Watkinsie i Morganie Rogersie – lecz wynik ośmiu trafień na kolana i tak nie rzuca. Przez długi czas element ten wskazywano jako atut nieprzewidywalnego zespołu, a teraz zamienił się w wadę, podobnie jak praktycznie niezmieniona względem poprzednich rozgrywek kadra, która teraz „zaczęła wymagać świeżości".

W klubie robi się nerwowo i zaczęto przebąkiwać, że brak pieniędzy z występów w Champions League może być kłopotliwy. – Musimy zagrać fantastyczny mecz. Tego oczekuję od moich piłkarzy – zapowiedział Emery przed spotkaniem zChelsea.

(PTub)

PROGRAM 29. KOLEJKI

Środa: Aston Villa – Chelsea, Brighton – Arsenal, Fulham – West Ham, Man. City – Nottingham (wszystkie 20.30), Newcastle – Man. Utd (21.15), **Czwartek**: Tottenham – Crystal Palace (21.00)

Wtorkowe mecze zakończone po zamknięciu wydania.

Nie ma faworyta

Puchar Francji wchodzi w decydującą fazę. Ciężko wskazać, kto może triumfować.

FRANCJA

Francuskie kluby mają już tylko dwa spotkania do upragnionego finału rozgrywek. W ćwierćfinałach nie wystąpią tylko przedstawiciele najwyższej klasy rozgrywkowej, bo Reims to drużyna, która gra w Ligue 2. Co ciekawe, aż siedem zespołów Ligue 1 na tym etapie rozgrywek to dopiero trzeci taki przypadek w XXI wieku! Ostatni raz taka sytuacja miała miejsce w 2013 roku, a także w 2010. Od tamtych lat liczba przedstawicieli z niższych klas rozgrywkowych była większa i wynosiła minimum dwie drużyny. Wspomniany zespół Reims jest jednak bardzo ciekawym przypadkiem, ponieważ czerwono-biali zagrali w poprzednim sezonie w finale Pucharu Francji i jednocześnie spadli do niższej ligi po nieudanych barażach.

Wśród drużyn nie ma zdecydowanego faworyta do triumfu. Obrońcy pucharu, czyli zespół PSG, odpadł już w 1/16 finału po derbowym starciu z Paris FC, którego także nie ma już w rozgrywkach. Do pewnego momentu wydawało się, że drużyną, która zdobędzie trofeum, będzie RC Lens. Czerwono-żółci byli liderami Ligue 1, w pucharze gładko rozprawili się z trzema rywalami, ale w końcu przyszedł kryzys formy. Chociaż nie jest on wielki, to jednak piłkarze trenera Pierre'a Sage'a najpierw przegrali z Monaco 2:3, prowadząc dwoma bramkami, a następnie gonili wynik ze Strasbourgiem i ostatecznie zremisowali 1:1. W ćwierćfinale zmierzą się z Olympique Lyonem, który przegrał dwa ostatnie spotkania. Defensywa Lens będzie musiała jednak uważać na Endricka, który po kilku meczach bez żadnej liczbowej zdobyczy w ostatnim meczu ligowym zaliczył dwie asysty.

Brazylijczyk te dwa ostatnie podania zaliczył z Olympique Marsylia. W tej metropolii próbują zapanować nad chaosem, który panuje w klubie. Pozytywną wiadomością – jedną z nielicznych w ostatnich tygodniach – było pierwsze zwycięstwo Habiba Beye jako trenera OM. Po porażce w debiucie z Brestem (0:2), w ostatni weekend jego drużyna pokonała Lyon (3:2). – Musimy się tym cieszyć, ale za trzy dni gramy kolejny mecz. Praca została wykonana w tygodniu. Zawodnicy trenowali bardzo ciężko, bez narzekania – mówił po meczu szkoleniowiec. W środę Marsylczycy zmierzą się z drużyną Toulouse, która... nie wygrała od czterech spotkań. Czas zatem na przełamanie!

Miłosz Cebo

ĆWIERĆFINAŁY PUCHARU FRANCJI

Środa: Lorient – Nicea (20.30), Marsylia – Toulouse (21.00); **czwartek**: Lyon – Lens (21.10).

Wtorkowe spotkanie Strasbourg – Reims zakończyło się po zamknięciu wydania.



Fot. PSNEWZ/SIPA / Press Focus

Napastnik Odsonne Edouard będzie zagrożeniem dla obrońców Lyonu.

Sport fa29b4d0b9

Polityka i futbol

WOKÓŁ MUNDIALU

Niekompletny zestaw finalistów, bojkot albo przymusowe wycofanie się z mistrzostw, a nawet piłkarska wojna. Niestety, futbolowa historia przeplata się z wielką polityką...

Za niewiele ponad trzy miesiące mają się zacząć XXIII piłkarskie mistrzostwa świata. Ich organizatorem są Stany Zjednoczone, Meksyk i Kanada. Tymczasem nie wiemy, co będzie... Zaczęło się w Meksyku, gdzie siły bezpieczeństwa wypowiedziały wojnę narkotykowym kartelom, zabijając 22 lutego bezwzględnego Nemesio „El Mencho" Oseguera Cervantesa. Amerykański rząd już wcześniej dawał 15 mln dolarów za informację, gdzie się ukrywa ten przywódca zorganizowanej grupy przestępczej.

Przez kraj przetoczyła się fala aktów przemocy, zginęły dziesiątki osób. W niedzielę w Guadalajarze, gdzie pod koniec marca ma się odbyć interkontynentalny baraż, odwołano mecz ligowy pomiędzy Chivas a Club America. Także inne spotkania w Liga MX Femenil zostały przełożone, a to dopiero początek.

Teraz mamy atak USA na Iran. Wszystko wskazuje na to, że ten bliskowschodni kraj ten zbojkotuje imprezę w czerwcu i lipcu. Irańczycy, którzy szybko zapewnili sobie awans w strefie azjatyckiej, pewnie wygrywając swoją grupę, wszystkie swoje spotkania mają rozegrać w Stanach Zjednoczonych. W grupie G z Nową Zelandią 15 czerwca i z Belgią sześć dni później w Los Angeles, a z Egiptem 26 czerwca w Seattle. Kto mógłby zagrać zamiast Iranu? Najprawdopodobniej Zjednoczone Emiraty Arabskie, które przegrały baraż z Irakiem w III rundzie azjatyckich eliminacji. Notabene ZEA, jako sojusznik USA w Zatoce Perskiej, już zostały przez Iran – w odwecie – zaatakowane rakietami...

Może być i tak, jak było na trzecich mistrzostwach świata (zwanych wtedy Pucharem Rimeta) na francuskich boiskach przed II wojną światową, że zamiast 16 finalistów było tylko 15. Dlaczego?

1938
Anschluss Austrii

Pod koniec lat 30. sytuacja międzynarodowa była równie napięta jak teraz. Po dojściu Adolfa Hitlera do władzy w Niemczech w 1933 roku kraj ten zaczął prowadzić agresywną politykę międzynarodową, której pierwszą ofiarą padła sąsiednia Austria. 12 marca 1938 Wehrmacht wkroczył do tego kraju, nie napotykając oporu. Austria została włączona do Wielkiej Rzeszy jako Marchia Wschodnia.

Miało to swoje przełożenie na futbol. 4 czerwca tamtego roku we Francji zaczynał się trzeci Puchar Rimeta, czyli MŚ. Austria w eliminacjach pokonała Łotwę 2:1. W pierwszej rundzie francuskiego mundialu miała zagrać ze Szwecją 5 czerwca w Lyonie. Skandynawowie na boisko wybiegli, Austriacy nie, choć mieli świetny zespół, z Mozartem piłki Matthiasem Sindelarem na czele. Miał grać dla Rzeszy, ale odmówił.

1950
faszyści i imperialiści

Pierwszy powojenny turniej o mistrzostwo globu został zbojkotowany przez kraje tzw. demokracji ludowej. Żaden z krajów znajdujących się pod sowieckim butem nawet nie przystąpił do eliminacji. W prasie takich krajów, jak Polska, Czechosłowacja, Węgry, Bułgaria, nie mówiąc o Związku Radzieckim, o rozgrywanym w Brazylii turnieju w czerwcu i lipcu 1950 pisano jako o imprezie imperialistów, a nawet faszystów. Stracili przede wszystkim Madziarzy, którzy mieli wtedy znakomitą generację piłkarzy, którzy w cuglach wygrali turniej olimpijski w Helsinkach dwa lata później. W drodze po złoto pokonali m.in. Włochów 3:0, w ćwierćfinale Turcję 7:1, a w półfinale obrońcę złotego medalu Szwecję aż 6:0. W decydującej grze po bramkach Ferenca Puskasa i Zoltana Czibora pokonali 2:0 Jugosławię.

1958
drużyna wolności

W kwietniu 1958 finaliści MŚ przygotowywali się do szóstego Pucharu Rimeta na boiskach w Szwecji (8-29 czerwca). Tymczasem w Algierii, będącej w tamtym czasie pod francuskim panowaniem, toczyła się walka o niepodległość. To była brutalna i krwawa wojna, w której zginęło około 200 tysięcy osób. Walka toczyła się na wielu frontach, także tym propagandowym. Kierujący na miejscu walką zbrojną Front Wyzwolenia Narodowego (FLN) wezwał na pomoc profesjonalnych algierskich futbolistów grających we francuskich klubach. 14 kwietnia 1958 roku doszło do bezprecedensowej sytuacji. Mający arabskie korzenie reprezentanci Francji, napastnik Rachid Mekhloufi z AS Saint-Etienne i świetny obrońca Mustapha Zitouni z AS Monaco, z grupą wielu im podobnych zawodowych graczy z klubów Ligue 1 i Ligue 2 opuścili potajemnie Francję i pojechali do Tunisu, aby dołączyć do drużyny wolności. Francuzi byli w szoku. Piłkarze mieli przecież profesjonalne kontrakty, a Mekhloufi i Zitouni szykowani byli do wyjazdu na mistrzostwa. Tymczasem wybrali inną drogę, rezygnując z szansy gry na MŚ i z wielkiej międzynarodowej kariery, bo woleli pomóc krajowi walczącemu o niepodległość.

1969
wojna futbolowa

W eliminacjach do pierwszych meksykańskich MŚ w strefie Ameryki Północnej zagrali ze sobą sąsiedzi, Salwador z Hondurasem. Stosunki między państwami były wtedy napięte, a wszystko spotęgowało jeszcze eliminacyjne spotkanie, w którym Salwador 15 czerwca 1969 pokonał u siebie sąsiada 3:0. Doszło do zamieszek na trybunach, dwie osoby zginęły, a zaraz potem kraje zerwały stosunki dyplomatyczne. 14 lipca tamtego roku Salwador zaatakował sąsiada. W walkach zginęło około 2 tysiące osób, a konflikt przeszedł do historii jako wojna futbolowa. Na MŚ w Meksyku Salwador nie miał wiele do powodzenia, przegrał 0:3 z Belgią, z gospodarzami 0:4 i z ZSRR 0:2. To był jeden z dwóch startów La Selecta w finałach MŚ. Po raz drugi zagrali z najlepszymi jeszcze w 1982 roku w Hiszpanii, ale stracili wtedy w grupie jeszcze więcej bramek, bo aż 13.

1973
radziecka odmowa

Przed X MŚ na boiskach Niemiec Zachodnich w barażu interkontynentalnym zmierzyły się Chile i ZSRR. Pierwszy mecz w Moskwie na Stadionie Lenina (obecnie Łużniki) zakończył się 23 września 1973 roku bezbramkowym remisem. Daty są tutaj bardzo ważne. Kilkanaście dni przed pierwszym spotkaniem w południowoamerykańskim kraju doszło do zamachu stanu. Komunistyczny przywódca Salvador Allende został obalony przez generała Augusto Pinocheta. Zaplanowany na 21 listopada rewanż w Santiago nie doszedł do skutku. Sowieci odmówili gry na Estadio Nacional, który po przewrocie służył jako... obóz koncentracyjny. Dyskusje co do innego miejsca nie przyniosły rezultatu. Ostatecznie Chile rewanż wygrało walkowerem i po ośmiu latach ponownie zagrało w elicie, ale bez powodzenia.

Michał Zichlarz



Fot. Francisco Guasco/EPA / PAP

Siły bezpieczeństwa przed Akron Stadium w Guadalajarze. Tak wygląda tam rzeczywistość przed barażem i finałami MŚ.

Z plaży na boisko

Nie tylko mistrzostwa świata obfitowały w pozaboiskowe i polityczne historie... Najbardziej znane jest to, co wydarzyło się przed Euro 1992 na boiskach Szwecji. Trwała wtedy krwawa wojna na Bałkanach, gdzie rozpadała się Jugosławia. Decyzją UEFA kraj został wykluczony z udziału w imprezie, gdzie grało tylko osiem reprezentacji. To była prawdziwa elita. W miejsce Plavich szansę dostała Dania, która w grupie IV eliminacji była dwa punkty za rywalem.

– Niektórzy z nas rzeczywiście ściągnięci zostali z wakacji, mam tutaj na myśli tych, którzy grali w lidze angielskiej czy w Bundeslidze. Co do mnie, to grałem wtedy w Broendby i rozgrywki trwały. Mieliśmy jeszcze do rozegrania kilka meczów. Tydzień przed Euro rozegraliśmy jeszcze mecz towarzyski z drużyną rosyjską i pojechaliśmy na mistrzostwa – mówił mi w Kopenhadze kilka lat temu John „Faxe" Jensen, strzelec gola w finałowym meczu z Niemcami. Duńczycy sensacyjnie triumfowali wtedy, wygrywając decydujące spotkanie 2:0 i zostając niespodziewanym mistrzem Starego Kontynentu!

Z kolei w 1996 roku tytułu mistrza Afryki nie broniła reprezentacja Nigerii, z takimi znakomitościami jak Jay-Jay Okocha czy Nwankwo Kanu. Do RPA Super Orły nie poleciały, bo zabronił im dyktator Sani Abacha, który wcześniej skazał na śmierć pisarza i aktywistę Ken Saro-Wiwę. Polityk obraził się za liczne protesty z całego świata, żeby darował życie orędownikowi ludności Ogoni. Turniej w RPA w 1996 roku odbył się z udziałem nie 16, a 15 reprezentacji, podobnie zresztą jak Puchar Narodów Afryki w 2010 roku w Angoli. Zmierzająca na turniej autobusem reprezentacja Togo, gdzie występował słynny Emmanuel Adebayor, została ostrzelana w prowincji Kabinda przez miejscowych rebeliantów, walczących o oderwanie tej części terytorium od Angoli. Dwie osoby zginęły, kilku piłkarzy zostało rannych. W tej sytuacji Togo wycofało się z Coupe d'Afrique.

(zich)

Nie dały się stłamsić

Biało-czerwone stoczyły z Holenderkami wyrównany bój i po bardzo dobrym meczu postawiły pierwszy krok w kierunku przyszłorocznego mundialu.

ELIMINACJE MŚ 2027

Ogromny stadion w Gdańsku wypełnił się w zaledwie 8,4%, murawa pozostawiała wiele do życzenia, ale zawodniczkom obu zespołów nie przeszkodziło to w stworzeniu ciekawego, szybkiego i emocjonującego widowiska.

„Czas na kolejny krok" – takie hasło przyświecało naszym paniom, które – po zeszłorocznym, pierwszym występie na Euro – zamarzyły o historycznym udziale w mistrzostwach świata 2027 w Brazylii. Droga na ten turniej jest długa, ale wczorajszy mecz pokazał, że wcale nie musi być trudna. Od początku Polki grały odważnie, starały się kreować sytuacje i tylko brak precyzji powodował, iż na objęcie prowadzenia musiały czekać do 24 minuty. Spora w tym zasługa Pauliny Tomasiak, która uprzedziła rywalkę, uruchamiając Ewę Pajor. Holenderki nie nadążyły za napastniczką Barcelony, która wpadła w pole karne i gdy była na wysokości narożnika „piątki", kapitalnym uderzeniem posłała piłkę w „okienko". Polkom było mało i w 32 minucie mogły prowadzić 2:0. Po strzale głową zamykającej akcję na dalszym słupku Nadii Krezyman piłka trafiła w bramkarkę, dobijać próbowała Pajor, lecz została zablokowana. Ta niewykorzystana okazja zemściła się w końcówce pierwszej połowy. Z niepewności przy rzucie rożnym i niedokładnego wybicia piłki skorzystała Veerle Buurman, z sześciu metrów posyłając ją do siatki.

100
MECZÓW
w koszulce z orzełkiem ma od wczoraj Martyna Wiankowska.

W szatni Holenderek musiało być bardzo głośno, bo na drugą odsłonę wyszły zmobilizowane i szybko objęły prowadzenie. Piłkę na 16 metrze otrzymała Jill Roord i mocnym uderzeniem w środek bramki zaskoczyła Kingę Szemik. Wielu pewnie pomyślało, że 11. drużyna rankingu FIFA przejmie pełną kontrolę, ale to na jej polu karnym działo się znacznie więcej. Pajor główkowała w poprzeczkę, a wolej Adriany Achcińskiej o centymetry minął słupek. Ambicja i konsekwentne dążenie do celu zostało nagrodzone w 84 minucie. Tomasiak uruchomiła Pajor, ta odegrała do Eweliny Kamczyk, która prostopadle wypuściła Tomasiak. Minięcie bramkarki i strzał do „pustaka" był formalnością. Niedawno zachwycaliśmy się olimpijskimi skokami Kacpra Tomasiaka, a wczoraj świetną robotę wykonała jego pochodząca z Nowego Sącza „imienniczka"...

Na tym emocje się nie skończyły i Polki za sprawą Pajor mogły nawet wygrać, ale remis z trzykrotnym uczestnikiem MŚ to i tak bardzo przyzwoity wynik. Eliminacje nie będą łatwe, lecz naszym paniom pomaga obecność w dywizji A Ligi Narodów. Dzięki temu, niezależnie od rezultatu, zagrają w barażach o mundial. Jeśli nie uda się awansować z pierwszego miejsca, to wyjście z drugiego zapewni – w teorii – dużo łatwiejszą ścieżkę. Remis z Holandią jest więc niezwykle istotny. W sobotę poprzeczka pójdzie jednak jeszcze wyżej. W Dijon rywalkami zespołu Niny Patalon będą Francuzki.

Marek Hajkowski



Fot. PAP / Adam Warżawa

Paulina Tomasiak nie miała kompleksów przed utytułowanymi rywalkami.

■ **Polska - Holandia 2:2 (1:1)**
1:0 - Pajor, 24 min, 1:1 - Buurman, 44 min, 1:2 - Roord, 47 min, 2:2 - Tomasiak, 84 min
POLSKA: Szemik - Zieniewicz, Woś, Dudek, Wiankowska - Krezyman (66. Zawistowska), Achcińska, Pawollek (66. Kokosz), Kamczyk (90. Grzybowska), Tomasiak (90+3. Padilla Bidas) - Pajor. Trenerka Nina PATALON.
HOLANDIA: Kop - Casparij (46. Wilms), Dijkstra, Janssen, Buurman - Roord, Egurrola (62. Groenen), Miedema, Kaptein, Brugts (62. Grant) - Beerensteyn (74. Leuchter). Trener Arjan VEURINK.
Sędziowała Ivana Projkovska (Macedonia Północna). **Widzów** 3540.
Żółte kartki: Dijkstra, Groenen.



Fot. ZPRP

Marcelina Polańska powołanie do kadry narodowej traktuje jako ogromne wyróżnienie.

Zmiany były konieczne

Pech jednej jest szczęściem drugiej – tak można określić rotacje, jakich przed dwumeczem z Norwegią musiał dokonać trener Arne Senstad.

REPREZENTACJA KOBIET

Norweski szkoleniowiec Biało-czerwonych ma w zwyczaju rozsyłać powołania z dużym wyprzedzeniem. Kadrę na spotkania z Norweżkami podał już 13 lutego, by jego wybranki mogły się z tym oswoić i odpowiednio przygotować do zgrupowania w Lubinie.

Czuł pismo nosem

W kadrze znalazło się 18 zawodniczek, ale Arne Senstad podał również 14-osobową listę rezerwowych i – jak się okazało – czuł pismo nosem. Dwa tygodnie to sporo czasu i wiele może się zmienić, zwłaszcza jeśli chodzi o kwestie zdrowotne. Po 11 dniach od rozesłania powołań wypadła Katarzyna Cygan. Mająca za sobą udane Euro oraz mecze ligowe prawa rozgrywająca MKS-u Gniezno zwolniła miejsce prawie 21-letniej Paulinie Kuźmińskiej ze Startu Elbląg. – Kasia podczas treningu złamała nos. Szkoda, ponieważ to zawodniczka, która w ostatnim czasie rozwija się bardzo dobrze i jest ważną postacią zespołu. Paulina Kuźmińska to młodość i duża nadzieja na przyszłość. Słyszałem o niej wiele dobrego, widziałem jej ostatnie mecze i dlatego chcę ją sprawdzić. Chcę, aby zebrała doświadczenie, poczuła atmosferę gry w kadrze i zobaczyła, jaki poziom trzeba prezentować na arenie międzynarodowej – skomentował Senstad.

Sprawy prywatne

Dwa dni później selekcjoner dowiedział się, że ze względów prywatnych w zgrupowaniu nie weźmie udziału Karolina Kochaniak. To spore osłabienie, bo środkowa Zagłębia Lubin jest w ostatnim czasie jedną z najlepszych naszych zawodniczek, co udowodniła podczas mistrzostw Europy, rzadko schodząc poniżej wysokiego poziomu. – To dla nas trudna sytuacja i duża strata, bo „Karo" w ostatnich latach jest jedną z najważniejszych zawodniczek w drużynie. Mam nadzieję, że po chwili przerwy szybko do nas wróci – powiedział Norweg, zastępując liderkę Marceliną Polańską. Powołanie 27-latki z Piotrcovii jest sporym zaskoczeniem, ale postawą w tym sezonie w pełni zasłużyła na debiut. Zaproszenie otrzymała dzień po meczu w Lublinie, w którym zdobyła sześć bramek i została MVP. – Mamy teraz trochę czasu na przeanalizowanie tego i innych spotkań, a także odpoczynek, bo w rozgrywkach czeka nas przerwa na reprezentację – mówiła Polańska, ale nazajutrz dowiedziała się, że odpoczywać będzie krótko. – Powołanie do kadry to dla mnie duże zaskoczenie i ogromne wyróżnienie. Cieszę się, że moja ciężka praca została doceniona. Postaram się wykorzystać tę szansę najlepiej, jak potrafię – zapowiedziała zdobywczyni 48 bramek i autorka 61 asyst w 20 spotkaniach tego sezonu. Na zgrupowaniu nie czuje się osamotniona, bo uczestniczą w nim jej klubowe koleżanki, obrotowe Natalia Pankowska i Patrycja Noga oraz prawa rozgrywająca Oliwia Domagalska.

Zaskoczenie i ekscytacja

Dobra postawa Wiktorii Kostuch w ubiegłym sezonie zaowocowała letnim transferem z Sośnicy Gliwice do KPR-u Gminy Kobierzyce, gdzie jest czołową lewoskrzydłową (74 bramki w 19 meczach). To zostało dostrzeżone przez sztab szkoleniowy, który wysłał do niej powołanie. – Poczułam duże zaskoczenie i podekscytowanie. Wkładam mnóstwo pracy w to, żeby z treningu na trening być lepszą zawodniczką i cieszę się, że będę miała okazję zadebiutować w reprezentacji. To ogromne wyróżnienie i spełnienie marzeń każdej zawodniczki – podkreśliła 26-latka, której atutami są szybkość, umiejętność finalizacji kontry, a także rzuty karne. Kostuch zastąpiła Żanetę Lipok z MKS-u Gniezno, wykluczonej ze względów prywatnych.

Pierwszy mecz z Norweżkami w ramach EHF Euro Cup 2026 w czwartek o 18.00.

Marek Hajkowski

Sport fa29b4d0b9

Koty idą po więcej

Spośród dzisiejszych meczów Machineseeker EHF Champions League z udziałem polskich zespołów istotniejszy dla układu tabeli będzie ten w Hali Legionów.



■ **RK Zagrzeb - Orlen Wisła Płock**, środa, godz. 18.45; transmisja - Eurosport 1

■ **Industria Kielce - Sporting Lizbona**, środa, godz. 20.45; transmisja - Eurosport 1

Fot. Tomasz Fąfara / Press Focus

Żeby podtrzymać świetną passę, Szymon Sićko i jego koledzy znów będą musieli wznieść się na wyżyny.

LIGA MISTRZÓW

Najbardziej elitarne rozgrywki piłki ręcznej na Starym Kontynencie wkraczają w decydującą fazę; mowa oczywiście o zmaganiach grupowych. Do rozegrania zostały dwie kolejki, ale do wyjaśnienia nie ma zbyt wiele, bo sporo się już rozstrzygnęło.

Bez „odwalania maniany”

Z bezpośredniego awansu do 1/4 finału cieszą się w Berlinie, Aalborgu, Magdeburgu i Barcelonie, bo zespoły z tych miast zajęły dwa pierwsze miejsca w swoich grupach. Smutek natomiast zapanował w Kolstad, Bukareszcie, Bitoli oraz Zagrzebiu, gdyż drużyny z tych miast nie zdołają poprawić swojego położenia i już w przyszłym tygodniu pożegnają się z rozgrywkami. Ekipy z miejsc 3-6 mają z kolei zagwarantowany awans do 1/8 finału i w ich wypadku do rozwiązania pozostaje jedynie kwestia, z której lokaty przystąpią do play offu. Orlen Wisła Płock jest pewna 3. miejsca w tabeli grupy B; przypieczętowała je ostatnim remisem (29:29) z broniącym tytułu Magdeburgiem, przy jednoczesnej porażce (28:29) goniącego go Picku Szeged z Paris Saint-Germain. Dzięki temu mistrzowie Polski mają pięć punktów więcej niż klub z Węgier, a w Lidze Mistrzów za zwycięstwo otrzymuje się dwa „oczka”. – Graliśmy z jedną z najlepszych drużyn, która wygrała wszystkie 11 meczów. Punkt, który zdobyliśmy, traktujemy jak złoty, bo zapewnił nam 3. miejsce w tabeli po fazie grupowej. Powinniśmy się cieszyć z takiego rozstrzygnięcia. Przed sezonem chyba nikomu nie przychodziło do głowy, że możemy je zająć – podkreślał po ostatnim spotkaniu trener Xavier Sabate. Jego podopieczni są więc spokojni i dziś w „pogrzebanym” Zagrzebiu mogą zagrać na luzie, choć znając podejście hiszpańskiego szkoleniowca, o jakiekolwiek „odwalania maniany” nie będzie wchodzić w rachubę. – Chodzi o to, żeby udowodnić, że faktycznie zasługujemy na tę 3. pozycję – podkreślali Płocczanie, w czym przeszkodzić mają zamiar m.in. grający w klubie z chorwackiej stolicy Damian Przytuła i Patryk Walczak, którzy znaleźli się w gronie rezerwowych na marcowy dwumecz Łotwą w ramach eliminacji mistrzostw świata 2027.

CZY WIESZ, ŻE...

■ W pierwszych meczach polskich drużyn z dzisiejszymi rywalami Industria przegrała ze Sportingiem 37:41, a Wisła pokonała RK Zagrzeb 30:27.

■ Skrzydłowy Przemysław Krajewski przedłużył umowę z płockim klubem do 2027 roku. Wychowanek Czarnych Regimin barw Wisły broni od 2017 roku. Wcześniej był zawodnikiem Juranda Ciechanów, Nielby Wągrowiec i Azotów Puławy. Uchodzący za jednego z liderów Orlen Wisły 39-latek rozegrał 162 mecze i zdobył 380 bramek dla reprezentacji, z którą sięgnął po brązowy medal mistrzostw świata w Katarze (2015). – Jestem bardzo szczęśliwy z przedłużenia kontraktu. To już mój dziewiąty rok w tym klubie, więc to dla mnie coś więcej niż tylko miejsce pracy. Cieszę się, że dalej mogę być częścią tego projektu i walczyć o kolejne cele – podziękował za zaufanie „Krajek”.

Układ jest prosty

W Kielcach natomiast takiego spokoju nie ma, ale w najbliższych planach również znalazło się zajęcie 3. miejsca w grupie A. Pomóc ma w tym dobra gra i zwycięstwo w dzisiejszym starciu ze Sportingiem Lizbona. – Żeby wygrać piąty raz z rzędu, musimy rozegrać komplety mecz – powiedział szkoleniowiec Industrii, Tałant Dujszebajew. Jego zespół do ostatniego domowego spotkania fazy grupowej przystąpi w dobrym nastroju. Odprawił bowiem m.in. takie tuzy jak One Veszprem i Fuechse Berlin. Zwłaszcza pokonanie (33:31) ekipy ze stolicy Niemiec – i to na jej terenie, czego w tym sezonie nie udało się nikomu! – rozniosło się szerokim echem po Starym Kontynencie. Trzecia lokata jest w zasięgu 20-krotnego mistrza Polski, lecz musi wygrać dwa ostatnie spotkania (dzisiejsze ze Sportingiem oraz za osiem dni z „utopionym” Kolstad), a także liczyć na potknięcie mistrza Węgier (jutro podejmie go 5. w tabeli HBC Nantes, a w przyszły czwartek zagra u siebie z Aalborgiem). Układ jest więc prosty, ale trener Dujszebajew wie, że łatwo nie będzie. – Czeka nas konfrontacja z młodym i głodnym zwycięstw przeciwnikiem. Oglądanie go w akcji daje wielką przyjemność. Przed nami niesamowicie trudne spotkanie, ale przed naszą publicznością zawsze mamy trochę więcej szans – zaznaczył Kirgiz.

Uwaga na Costę

Czołową postacią Sportingu, który atmosferę Hali Legionów poczuje po raz pierwszy, jest Francisco Costa. – Stawiam go tuż za Mathiasem Gidselem. Wiemy, że Duńczyk to zawodnik z innej planety, ale Portugalczyk niewiele mu ustępuje. Jeśli go nie ma na boisku, Sporting ma problemy – zauważył trener Industrii, a potwierdzeniem jego opinii było ostatnie pokonanie (35:33) Aalborga, a zwłaszcza odrobienie pięciu bramek po pierwszej połowie (14:19). – Musimy być gotowi na szalone tempo i walkę do ostatniej sekundy – zapowiedział Dujszebajew, który nie będzie mógł wystawić optymalnego składu. Jego syn Alex pod koniec meczu w Berlinie poważnie uszkodził mięsień dwugłowy, Arkadiusza Morytę dopadła jelitówka, a Dylan Nahi podkręcił kostkę. Tej trójki zabrakło w Płocku podczas niedzielnego meczu na szczycie, a i tak Kielczanie zdołali urwać odwiecznym rywalom punkt... Poza tym gorączka i wymioty dopadły Szymona Sićkę, a słoweński bramkarz Klemen Ferlin, jeden z bohaterów meczu z Lisami, jest poobijany. Z powodzeniem może go zastąpić Adam Morawski, doskonale – mimo lżenia przez płockich „kibiców” nie tylko w Orlen Arenie, ale też poza nią – spisujący się podczas „świętej wojny” i broniący na miarę MVP. Czy szkoleniowiec postawi na „Loczka”? Poczekajmy do wieczora.

Twardo stąpają po ziemi

Mimo tych przeciwności Tałant Dujszebajew jest dumny z postawy swoich zawodników. Wytrzymali bowiem presję i falę krytyki z początku sezonu. – Kiedy zaczynaliśmy tegoroczne przygotowania, wiedzieliśmy, że za wszelką cenę musimy wygrać z Veszpremem. To dało nam życie. Jesteśmy jak kot. Później daliśmy radę z jeszcze trudniejszym rywalem, który zdobywa bardzo dużo bramek i teraz idziemy dalej – zaznaczył szkoleniowiec i zaapelował o chłodną głowę oraz skupienie się na najbliższym spotkaniu. – Teraz, kiedy mamy kilka dobrych wyników, nie będziemy odpalać fajerwerków. Idziemy krok po kroku i twardo stąpamy po ziemi – zapewnił Tałant Dujszebajew.

Marek Hajkowski

Dlaczego Dujszebajew?!

Francuscy trenerzy są niezadowoleni z nominacji trenera Industrii Kielce na selekcjonera reprezentacji ich kraju.

Francuskie stowarzyszenie trenerów „7Master” wyraziło ubolewanie z powodu „braku dialogu i przejrzystości” w procesie, który doprowadził do nominacji Tałanta Dujszebajewa na stanowisko selekcjonera reprezentacji tego kraju. „Wbrew standardowej praktyce stosowanej w dużych organizacjach sportowych decyzja o zatrudnieniu Dujszebajewa najwyraźniej została podjęta bez zaproszenia do składania aplikacji i bez żadnych konsultacji” – oświadczyło stowarzyszenie. „Ten brak dialogu i przejrzystości jest godny ubolewania” – kontynuowano i wyrażono nadzieję na wykorzystanie tej okazji do „rozpoczęcia debaty na temat zarządzania” Francuską Federacją Piłki Ręcznej.

Przypomnijmy, że przed ośmioma dniami Dujszebajew został selekcjonerem reprezentacji Francji, zastępując Guillaume’a Gille'a, który zrezygnował niecały miesiąc wcześniej po słabym występie Trójkolorowych w styczniowych mistrzostwach Europy w Niemczech i Holandii; trzykrotni mistrzowie olimpijscy (2008, 2012, 2021) zajęli dopiero 7. miejsce.

Prawie 58-letni trener kirgiskiego pochodzenia, posiadający również hiszpańskie obywatelstwo, będzie pierwszym obcokrajowcem na tym stanowisku od czasów Niemca Bernharda Kampy w 1958 roku. Będzie łączył rolę selekcjonera z prowadzeniem Industrii, co stanowi kolejne zerwanie z poprzednikami, bo dotąd wszyscy byli oddani wyłącznie kadrze narodowej.

Dujszebajew prowadzi drużynę z Kielc od 12 lat i jest związany kontraktem do końca sezonu 2026/27. Będzie to jego powrót na reprezentacyjną ławkę po dziewięciu latach. W 2017 roku zakończył pracę z reprezentacją Polski, z którą rok wcześniej zajął 4. miejsce w igrzyskach olimpijskich w Rio de Janeiro. Wcześniej prowadził także kadrę Węgier. Hiszpan zdaje się tym wszystkim nie przejmować. W swoim stylu wzrusza ramionami i uśmiecha się pod nosem... W nowej roli zadebiutuje w majowym dwumeczu z Czechami, którego stawką będzie awans na mistrzostwa świata 2027 w Niemczech.

(mha)

Sport fa29b4d0b9

Kosze pod ostrzałem

Dramatyczne wydarzenia na Bliskim Wschodzie uderzyły w Euroligę.

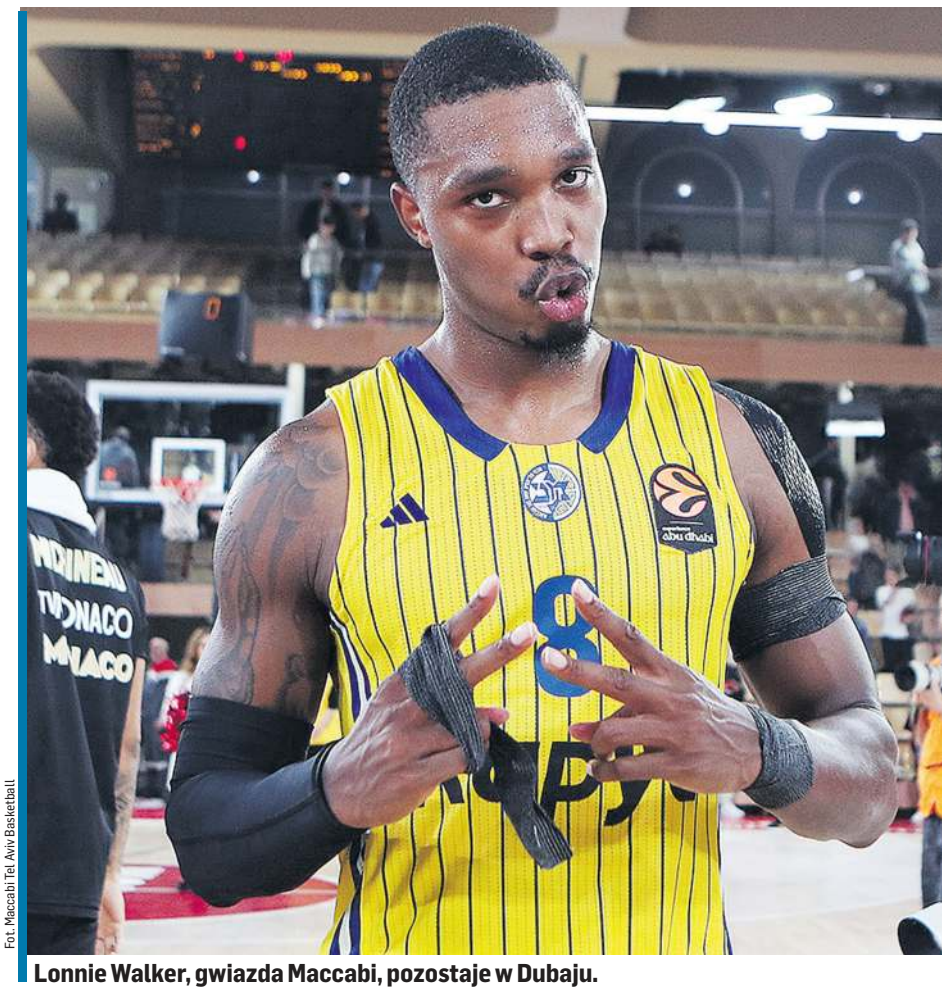
EUROLIGA

Naloty USA i Izraela na Iran oraz gwałtowna odpowiedź Teheranu wywołały pożar, który błyskawicznie przeniósł się na sportowe parkiety. Bilans jest dramatyczny: to przede wszystkim śmierć setek ludzi. Wojna ma także wpływ na wielu sportowców, którzy nie mają jak wydostać się czy dotrzeć na Bliski Wschód, bo przestrzeń powietrzna jest zamknięta.

Status: przełożone

Światowa federacja (FIBA) podjęła natychmiastową decyzję o przełożeniu kluczowych meczów eliminacji mistrzostw świata 2027 w strefie azjatyckiej. Starcia w Libanie i Katarze (m.in. Iraku z Jordanią czy Kataru z Arabią Saudyjską) otrzymały status „postponed" (przełożone). „W świetle obecnej sytuacji w tym regionie podjęto taką decyzję, aby zagwarantować bezpieczeństwo wszystkich uczestników. Po dokładnej ocenie i konsultacjach z odpowiednimi władzami i udziałowcami stwierdzono, że odwołanie imprezy to w tym momencie najbardziej odpowiedzialne wyjście" – czytamy w komunikacie FIBA.

Jeszcze większy chaos zapanował w Eurolidze. Prestiżowy turniej NextGen w Abu Zabi został odwołany w trybie pilnym, a 30. kolejka elitarnych rozgrywek stanęła pod znakiem zapytania. Odwołano już derby Tel Awiwu oraz mecz Partizana Belgrad z Dubai BC.



Fot. Maccabi Tel Aviv Basketball

Lonnie Walker, gwiazda Maccabi, pozostaje w Dubaju.

Prośba o modlitwę

Najbardziej dramatyczne scenariusze pisze jednak życie. Drużyna Hapoelu Tel Awiw została zmuszona do ewakuacji swoich graczy z Izraela drogą lądową. W obawie przed ostrzałem rakietowym zespół przedostał się do Ejlatu, skąd przekroczył granicę z Jordanią, by przez Amman próbować dotrzeć do nowej, tymczasowej bazy w Sofii. Zagraniczni zawodnicy, sparaliżowani strachem przed nadlatującymi pociskami, początkowo wahali się, czy w ogóle opuszczać schrony.

W tym samym czasie w Dubaju uwięziona została grupa kilkunastu graczy Euroligi oraz legendarny trener Fenerbahce, Sarunas Jasikevicius. Wśród nich jest największa gwiazda ligi, Lonnie Walker. – To już czwarty dzień tego szaleństwa. Nie będę wchodził w szczegóły historii, których byłem świadkiem lub w których uczestniczyłem. To, co widziałem, było złe i straszne – relacjonował Walker na swoim Instagramie, prosząc fanów o modlitwę za bezpieczeństwo uwięzionych sportowców.

Walker gra obecnie w Maccabi, a w CV ma ponad 360 meczów na parkietach NBA (San Antonio Spurs, Los Angeles Lakers, Brooklyn Nets oraz Philadelphia 76ers).

Co będzie dalej?

Ostoja Mijailović, prezes Partizana Belgrad, nie gryzie się w język. W mocnym wywiadzie dla stacji K1 otwarcie kwestionuje przyszłość rozgrywek. – Rosyjskie kluby nie grają od czterech lat, teraz mamy kryzys w Izraelu i napięcia na linii z klubami tureckimi. Jak mamy grać dalej, skoro nasi zawodnicy są uwięzieni w Dubaju, a ewakuacja przez Oman to jedyna szansa na ich powrót? Piłka jest po stronie zarządu Euroligi, ale powiedzmy to wprost: reszta sezonu wisi na włosku – grzmi Mijailović.

Choć turniej finałowy MŚ zaplanowano na sierpień 2027 roku, obecne wydarzenia stawiają pod znakiem zapytania bezpieczeństwo w regionie Zatoki Perskiej. Ostrzelanie przez Iran baz amerykańskich w Katarze i Zjednoczonych Emiratach Arabskich to sygnał alarmowy, którego organizatorzy nie mogą zignorować. Na ten moment Piłkarska Federacja Kataru już zawiesiła wszystkie rozgrywki, a koszykarski świat z niepokojem patrzy na to, jak rozwijają się sytuacja. Następne dni pokażą, czy Euroliga zdecyduje się na drastyczny krok – całkowite zawieszenie sezonu lub przeniesienie go do „bezpiecznej bańki" poza zasięgiem konfliktu.

(pp)

KURIOZUM W WASZYNGTONIE

NBA

■ Denver Nuggets niespodziewanie mieli wielkie problemy w Salt Lake City. Outsider stawił faworytom duży opór i doprowadził do dramatycznej końcówki. Bohaterem wieczoru został Jamal Murray, który zdobył 45 pkt (w tym 8 celnych rzutów za trzy). Kluczowy moment miał miejsce przy wyniku 122:118 dla Jazz w końcówce, gdy sędziowie po długiej analizie wideo cofnęli faul Nikoli Jokicia, zmieniając go na czysty blok. Chwilę potem Murray zachował zimną krew i trafił kolejne rzuty. Jokić dołożył 22 pkt i 12 zbiórek. Po stronie Jazz błyszczał debiutant Keyonte George (36 pkt), ale jego ostatnia próba za trzy nie znalazła drogi do kosza. Trener Denver Nuggets, David Adelman, nie szczędził pochwał pod adresem Murraya. – Jamal był dzisiaj wyjątkowy. Zdobycie 45 punktów przy zaledwie 19 rzutach to coś niesamowitego – powiedział trener w wywiadzie dla AltitudeTV. Szkoleniowiec pochwalił również cały zespół za brak paniki w trudnych momentach, podkreślając, że w NBA każde zwycięstwo jest cenne, niezależnie od tego, jak trudne było do wywalczenia.

Nuggets pozwolili rzucić sobie aż 125 punktów drużynie Jazz, w której brakowało Lauriego Markkanena, Jarena Jacksona Jr. oraz czterech innych graczy. – Naszym problemem były straty piłki. One nas dobijały – przyznał Adelman. Denver są obecnie na piątym miejscu w Konferencji Zachodniej, mając niewielką przewagę nad Lakers.

Dużo emocji było także w Waszyngtonie, gdzie kolejny słabeusz stawił czoło potędze. Rakiety wygrały, ale musiały się solidnie napracować. Gości do zwycięstwa poprowadził duet Alperen Sengun (32 pkt, 13 zbiórek) i Kevin Durant (30 pkt). Ten drugi był bezbłędny na linii rzutów wolnych (11/11), a warto dodać, że grał przed własną publicznością, bo urodził się stolicy USA.

Do kuriozalnej sytuacji doszło w trzeciej kwarcie. Trae Young, który wciąż oczekuje na debiut w barwach Wizards (to ma nastąpić w czwartek) w cywilnym ubraniu wbiegł na parkiet, by kłócić się z sędziami podczas przepychanki między zawodnikami obu drużyn. W odpowiedzi sędzia Tony Brothers, ogłaszając weryfikację wideo całej sytuacji, zaskoczył wszystkich (łącznie z komentatorami), informując, że Young zostaje wyrzucony z hali. Wyrzucenie z meczu przed rozegraniem choćby minuty w barwach nowej drużyny to jeden z niechlubnych rekordów ligi.

Już po całym zdarzeniu zawodnik zamieścił wpis w mediach społecznościowych, w którym z jednej strony bije się w pierś, obiecując większą kontrolę nad emocjami, a z drugiej zapowiada, że nie zamierza rezygnować ze swojej agresywnej, zadziornej gry. „Nie spodziewajcie się, że dam się wyrzucić jeszcze wiele razy, ale na pewno przyniosę ze sobą tę energię i ducha walki, kiedy wrócę wspomóc moich braci!" – zaznaczył.

Tymczasem w San Francisco Clippers pokazali charakter, odrabiając 17 pkt w meczu z osłabionymi Warriors (brak Stephena Curry'ego i Kristapsa Porzingisa). Kawhi Leonard rzucił 23 pkt, ale uwaga wszystkich skupiona była na nowym nabytku drużyny z LA. Pozyskany z Cleveland (w ramach wymiany za Jamesa Hardena) Darius Garland w debiucie zdobył 12 pkt. Mimo bolesnego zderzenia twarzą z barkiem Mosesa Moody'ego dograł mecz do końca, trafiając kluczowe rzuty w trzeciej kwarcie. Brandin Podziemski zdobył dla Warriors 20 pkt w pierwszej połowie, ale po przerwie niemal zupełnie zniknął z gry, co pozwoliło Clippers przejąć kontrolę nad spotkaniem.

Washington - Houston 118:123, Milwaukee - Boston 81:108, Utah - Denver 125:128, Golden State - LA Clippers 101:114 **(pp)**

POD TABLICAMI

WILLIAMS WE WROCŁAWIU

■ Śląsk stawia na wzmocnienia przed decydującą fazą sezonu zasadniczego. Właśnie zakontraktowano Jarvisa Williamsa (33 lata, 203 cm), który do naszej ligi wraca po kilku latach. Ten Amerykanin profesjonalną karierę rozpoczynał właśnie we Wrocławiu. W sezonie 2015/16 zagrał w 21 spotkaniach – zdobywał w nich średnio 17,2 punktu i miał 8,9 zbiórki, a w trakcie tamtych rozgrywek odszedł do ligi tureckiej. Do naszej ekstraklasy wrócił już przed siedmiu laty – w 2019 roku występował w HydroTrucku Radom (średnio 14,9 pkt i 6,6 zbiórki). Obecne rozgrywki rozpoczynał w Zeus Energy Group Rieti w drugiej lidze włoskiej. – To liga pełna jakościowych zawodników, bardzo konkurencyjna. Szanuję tutejszych graczy i zespoły grające w PLK. Myślę, że mogę się dobrze odnaleźć w realiach tych rozgrywek i nie będę zaskoczony ich fizycznością czy tempem gry. Jestem gotowy! – zapowiedział Williams. Nieoficjalnie mówi się, że to nie koniec wzmocnień. Nie jest jasne, jak poważna jest kontuzja Kadre Graya (uraz kolana), bo klub nadal nie opublikował informacji o stanie zdrowia swojego rozgrywającego.

TAYLOR W WAŁBRZYCHU

■ Wzmacnia się także inny zespół z Dolnego Śląska. Do Górnika Zamek Książ dołączył Ryan Taylor (31 lat, 196 cm). Ten koszykarz także wcześniej występował w Polsce – w poprzednim sezonie był zawodnikiem Anwilu Włocławek (w 36 meczach zdobywał średnio 8,8 pkt i 2,4 zbiórki). Ten sezon rozpoczął w lidze greckiej, w zespole Kolossos Rodos. „Występy na parkietach Orlen Basket Ligi w poprzednim sezonie potwierdziły jego wysokie umiejętności oraz gotowość do rywalizacji na najwyższym poziomie. Jesteśmy przekonani, że jego doświadczenie, energia i charakter idealnie wpiszą się w filozofię naszego zespołu" – informuje na swoim profilu w mediach społecznościowych klub z Wałbrzycha.

BOCHNIA BEZ AMERYKANKI

■ Zmiany są też w zespołach Orlen Basket Ligi Kobiet. Sierra Moore opuszcza Contimax MOSiR Bochnia. Kontrakt Amerykanki obowiązywał do zakończenia rundy zasadniczej (z opcją automatycznego przedłużenia w przypadku awansu do play offu). „Choć nasza droga na ten moment się rozchodzi, chcemy podziękować Sierrze za profesjonalizm, energię i serce zostawione na parkiecie w naszych barwach" – pisze klub z Małopolski. Z kolei AZS UMCS zakończył współpracę z Justyną Adamczuk. Zawodniczka występowała w Lublinie przez trzy sezony. „Justyna opuszcza zespół w poszukiwaniu miejsca, gdzie będzie mogła odgrywać większą rolę" – informuje AZS UMCS.

(p)

Sport fa29b4d0b9

Włoski problem

Asseco Resovia i PGE Projekt Warszawa rozpoczynają walkę o ćwierćfinał Ligi Mistrzów. Drużynę ze stolicy czeka starcie z włoskim gigantem.

EUROPEJSKIE PUCHARY

Z czterech polskich zespołów, które przystąpiły do walki w Lidze Mistrzów, dwa - Aluron CMC Warta Zawiercie i Bogdanka LUK Lublin - wygrały rywalizację w swoich grupach i już są w ćwierćfinale. Asseco Resovia oraz PGE Projekt Warszawa muszą natomiast przebijać się przez baraże.

Bardzo trudne zadanie czeka Warszawian. Do baraży dostali się rzutem na taśmę, z trzeciego miejsca, więc trafili na ekipę z najlepszym bilansem z drugich miejsc, czyli Itas Trentino. To jedna z najlepszych drużyn w Europie. Jest aktualnym mistrzem Włoch i czterokrotnie wygrywała Ligę Mistrzów, po raz ostatni w 2024 roku, kiedy w finale pokonała JSW Jastrzębski Węgiel. W Serie A Itas fazę zasadniczą zakończył na trzecim miejscu i w ćwierćfinale trafił na Cucine Lube Civitanova.



Warszawianie są dalecy od wysokiej formy i grają w kratkę.

Fot. Tomasz Jastrzębowski / Press Focus

Trenerowi Marcolo Mendezowi zmartwień jednak nie brakuje. Od dłuższego czasu kontuzjowany jest Alessandro Michieletto. Największy gwiazdor Itasu zmaga się z bólem kręgosłupa na odcinku lędźwiowym. Z tego powodu opuścił niedawny turniej finałowy Pucharu Włoch. Nie wiadomo kiedy będzie zdolny do gry. - Codziennie pracuję nad tym, aby jak najszybciej wrócić na boisko, mając świadomość, że w życiu sportowca zdarzają się takie chwile, kiedy trzeba się zatrzymać, patrzeć, jak grają inni, i uzbroić się w cierpliwość. Dziękuję za liczne wiadomości i okazane mi wsparcie. Nie mogę się doczekać powrotu, do zobaczenia wkrótce – przekazał za pośrednictwem mediów społecznościowych MVP ostatnich mistrzostw świata.

Warszawianie też jednak mają kłopoty. Dalecy są od wysokiej formy i grają w kratkę. Ponieśli m.in. bolesną porażkę z Cuprum Stilonem Gorzów, stracili też punkt z przeciętną w tym sezonie ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle.

Teoretycznie łatwiejsze zadanie w barażach ma Asseco Resovia. Zagra z Knack Roeselare. Asem atutowym Belgów jest Basil Dermaux. 23-latek szturmem wszedł do elity najlepszych atakujących świata. W fazie zasadniczej zdobył aż 179 punktów, jedynie Toncek Stern z ACH Volley Lublana był lepszy (236 pkt). - Rywale praktycznie we wszystkich spotkaniach, które rozgrywali, grali pięć setów, co pokazuje, że mocno walczą, bez względu na wszystko. Dla nas ważne będzie więc rozpoczęcie meczu w pozytywnym nastroju, z naprawdę dobrą energią, a następnie sumienne wykonywanie założeń, chociażby na zagrywce czy w ataku. To da nam szanse na zdobywanie punktów. Trzeba też być cierpliwym, ponieważ takie zespoły, które są dobrze poukładane i potrafią sprawiać problemy, wymagają cierpliwości. Musimy być gotowi na to, że czasem piłka nie wpadnie od razu w boisko po naszym ataku, dlatego trzeba stworzyć sobie kolejne okazje do zdobycia punktów – ocenił rywali Danny Demyanenko, środkowy Asseco Resovii.

W ostatniej parze barażowej zagrają Guaguas Las Palmas – Montpellier HSC.

Rewanżowe mecze barażowe zostaną rozegrane w dniach 10-12 marca. Spotkania 1/4 finału odbędą się od 24 marca do 2 kwietnia.

Oprócz polskich drużyn, w najlepszej ósemce znalazła się broniąca trofeum włoska ekipa Sir Sicoma Monini Perugia, z reprezentantem Polski Kamilem Semeniukiem w składzie, a także turecki Ziraat Bankkart Ankara, którego barw broni kadrowicz Tomasz Fornal. Obie te drużyny, podobnie jak Bogdanka LUK, nie doznały w fazie grupowej porażki. W ćwierćfinale zagra też na pewno Cucine Lube Civitanova.

(mic)

MECZE POLSKICH DRUŻYN

LIGA MISTRZÓW (play off)
Środa, 4 marca
RZESZÓW, 18.00: Asseco Resovia – Knack Roeselare
WARSZAWA, 20.30: PGE Projekt – Itas Trentino.

Powrót z zaświatów

Wierzę, że niebawem zostanę ostatecznie oczyszczony ze wszystkich zarzutów – pisze Mikołaj Sawicki.

Od dziewięciu miesięcy był zawieszony za stosowanie dopingu. Nie mógł grać i trenować. Przełom nastąpił w poniedziałek, gdy Polska Agencja Antydopingowa POLADA opublikowała komunikat, w którym poinformowała o odwieszeniu zawodnika Bogdanki LUK Lublin, Mikołaja Sawickiego.

Teraz do sprawy odniósł się sam zainteresowany. „Światowa Agencja Antydopingowa (WADA) uznała za zasadny podniesiony przeze mnie zarzut dotyczący braku wiarygodności metody analitycznej opracowanej i zastosowanej przez Polskie Laboratorium Antydopingowe (PLAD) do analizy próbki moczu pobranej ode mnie w ramach przeprowadzonej przez POLADA kontroli antydopingowej" – napisał w oświadczeniu i podkreślił, że nie odpuścił i walczył o uniewinnienie. „Przełom, który nastąpił, jest efektem nieustającego zaangażowania w walkę o wyjaśnienie sprawy ze strony mojej, moich bliskich i osób z mojego najbliższego otoczenia, a także nieustępliwości i dociekliwości moich prawników, które doprowadziły do decydującej ekspertyzy naukowej dr n. med. Karoliny Nowak z Zakładu Farmakologii Instytutu Nauk Medycznych Uniwersytetu Opolskiego. Właśnie dzięki tej ekspertyzie udało się przed WADA wykazać, że wynik badania na obecność kwasu modafinilowego zaraportowany przez PLAD mógł być fałszywie pozytywny, gdyż wykorzystana przez PLAD metoda analityczna nie pozwoliła na odróżnienie modafinilu i jego metabolitów od ebastyny i jej metabolitów. Ebastyna jest natomiast substancją czynną leku na receptę Evastix, który przyjmowałem w okresie poprzedzającym kontrolę antydopingową, zgodnie z zaleceniem lekarza w związku z sezonową alergią. Ebastyna nie znajduje się przy tym na Liście Substancji Zabronionych WADA" – dodał siatkarz, który po raz kolejny zapewnił, że nigdy świadomie nie stosował żadnych substancji zabronionych w sporcie znajdujących się na Liście Substancji i Metod Zabronionych WADA.

„Po cofnięciu przez POLADA tymczasowego zawieszenia wracam do treningów z drużyną klubu, który mimo trudnych okoliczności był cały czas ze mną. Na ten moment czekałem z utęsknieniem od miesięcy. Wierzę, że niebawem zostanę ostatecznie oczyszczony ze wszystkich zarzutów, a postępowanie w mojej sprawie zostanie formalnie zakończone. Obecnie chciałbym w pełni skoncentrować się na powrocie do gry. Dlatego też powstrzymam się z dalszym komentowaniem sprawy. Właściwy czas na kompleksową wypowiedź z mojej strony nadejdzie" – zapewnił Sawicki.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 4 MARCA

TVP SPORT
17.00 Pn: STS Puchar Polski, Zawisza Bydgoszcz – Chojniczanka, 20.25 Lech Poznań – Górnik Zabrze (na żywo)

EUROSPORT 1
18.40 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, HC Zagrzeb – Orlen Wisła Płock, 20.30 Industria Kielce – Sporting Lizbona (na żywo)

POLSAT SPORT 1
17.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Asseco Resovia – Knack Roeselare, 20.15 PGE Projekt Warszawa – Itas Trentino (na żywo); 23.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT 2
17.30 Siatkówka: PlusLiga, Indykpol AZS Olsztyn – PGE GiEK Skra Bełchatów (na żywo); 20.55 Pn: Puchar Włoch, Lazio – Atalanta Bergamo (na żywo)

POLSAT SPORT 3
20.00 Siatkówka: Tauron Liga, ŁKS Commercecon Łódź – Uni Opole (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 1
20.55 Pn: Liga szkocka, Aberdeen – Celtic Glasgow (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
17.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Asseco Resovia – Knack Roeselare, 20.15 PGE Projekt Warszawa – Itas Trentino (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
20.00 Tenis: Turniej ATP w Indian Wells (na żywo)

CANAL+ EXTRA 1
21.10 Pn: Liga angielska, Newcastle – Manchester United (na żywo)

CANAL+ EXTRA 2
20.25 Pn: Liga angielska, Manchester City – Nottingham Forest (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
20.00 Tenis: Turniej WTA w Indian Wells (na żywo)

ELEVAN SPORTS 1
20.55 Pn: Puchar Hiszpanii, Real Sociedad San Sebastian – Athletic Bilbao (na żywo)

ELEVEN SPORTS 2
20.20 Pn: Bundesliga, HSV – Bayer 04 Leverkusen (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport fa29b4d0b9

Wszystko się może zdarzyć...

Faworyci muszą się mieć na baczności, bo teraz zostaną rozegrane dwumecze u niżej notowanych.

TAURON HOKEJ LIGA

Krótki relaks, odnowa biologiczna, trening, bardziej przypominający zabawę na lodzie, analiza wideo poprzednich meczów, przypomnienie głównych schematów gry – tak wyglądały dwa dni poprzedzające mecze rewanżowe w ćwierćfinale play offu. Zapowiadają się interesująco, wszak we wszystkich czterech parach notujemy remisy 1-1. Dzisiaj dojdzie do pierwszych potyczek u zespołów niżej notowanych po sezonie zasadniczym. Mają one powody do zadowolenia i satysfakcji, wszak na wyjeździe pokazały się z jak najlepszej strony. Kolejne wygrane są całkiem realne i „możni" muszą czuć respekt i mieć się na baczności.

Konieczna zmiana

Gdy zespół wygrywa, to hokeistom nie spieszy się do domów, bo w szatni jest wesoło i wszyscy cieszą się z sukcesu. Natomiast gdy się przegrywa, wszyscy uciekają najszybciej, jak tylko się da... Tak właśnie było w niedzielny wieczór za kulisami ekipy ECB Zagłębia. Śpieszyliśmy się, by przed przekazaniem materiału do redakcji zagadnąć o przyczyny porażki z BS Polonią Bytom. Udaliśmy się pod szatnię i... wokół niej było pusto i głucho, a u sąsiadów z Bytomia wręcz przeciwnie.



Fot. PZHL/Michał Chwieduk

Na lodowisku w Bytomiu na kibiców czeka mnóstwo atrakcji podczas starcia Polonii z Zagłębiem.

- No, rzeczywiście szybko się zebraliśmy, bo każdy z osobna chciał przeżyć gorycz porażki – mówi kapitan ECB Zagłębia, Michał Kotlorz. - Zagraliśmy słabe spotkanie, zupełnie inne niż było w planie nakreślonym przez trenerów. To prawda, że szybko straciliśmy gola (w 32 sek. - przyp. red.), a potem kolejne. Przy stanie 1:4 nasza gra zupełnie się rozsypała. Owszem, w ostatniej tercji trochę się pozbieraliśmy i szukaliśmy szans na odrobienie strat. Był cień nadziei, ale to już za nami.

Bramkarz gospodarzy Niilo Halonen do momentu zmiany był wyjątkowo niespokojny i widać nie potrafił udźwignąć presji. Z kolei obcokrajowcy chcieli wziąć sprawy w swoje ręce i przedkładali grę indywidualną nad zespół. Solowe popisy nie mogły przynieść efektów.

- Zostaliśmy solidnie skarceni i, mam nadzieję, że wyciągniemy z tej surowej lekcji wnioski - dodaje Kotlorz. - Wygranie pierwszego spotkania w Bytomiu to nasz obowiązek i nie wyobrażam sobie innego rozwiązania. Trzeba jednak solidnie pracować przez 60 minut, a nie tylko w ostatniej tercji. Ponadto nie można wdawać się w jakieś zaczepki, szarpaninę, bo to nie przynosi żadnych korzyści. Wręcz przeciwnie - dekoncentruje.

Wykrzesać więcej

Debiutanci z Bytomia w sezonie zasadniczym zbierali wiele pochwał oraz punkty, ale nie do końca byli zadowoleni. Na pewno mogli być bogatsi o kilka zwycięstw, które im się wymknęły niemal w ostatniej chwili. Z dwumeczu w Sosnowcu są oczywiście zadowoleni, bo wygrana pozwala snuć marzenia o awansie.

- To sprawa bardzo odległa, bo przed potyczkami na własnym lodzie i trzeba wykrzesać wszystkie siły, by osiągnąć sukces – przekonuje kapitan Bytomian, Kamil Górny. - Przede wszystkim musimy zabezpieczyć własną bramkę, a wiem, że Bohdan Diaczenko będzie naszym solidnym wsparciem. On nieraz udowodnił, że potrafi wychodzić z poważnych opresji. Jednak nie będzie wygranej bez goli. Tutaj upatruję szans w kontrach. Mamy kilku zwinnych i szybkich napastników, którzy potrafią zaskoczyć rywala. Nie możemy też zbyt często przebywać w boksie kar, bo ich formacje specjalne potrafią wiele, zresztą, naszym też nic nie brakuje. Proszę zauważyć, jak ważne były gole na początku w obu meczach. Jeden zespół zyskał przewagę i strzegł jej jak źrenicy oka. Cieszę się, że jesteśmy gospodarzami, bo znów możemy liczyć na wsparcie kibiców. Zrobimy wszystko, by sprawić im frajdę.

Derby województwa zawsze były, są i będą atrakcyjne i oby tylko obyło się bez szarpaniny i wzajemnych złośliwości, bo sędziowie sobie tak średnio radzą z ogniskami zapalnymi na lodzie.

Po punkty i... pierniki

Kamil Kalinowski, dobrze znany z gry w śląskich drużynach, a dziś kapitan toruńskiej ekipy, na łamach tamtejszych Nowości odważnie oświadczył, że ich interesuje tylko gra w półfinale. Jechali do Oświęcimia po dwie wygrane, ale skończyło się na jednej. „Kalinosiu" bardzo z tego powodu ubolewał, bo o wszystkim zadecydowało jedno trafienie z 1. tercji. Po powrocie do Torunia znów przekonuje, że jego zespół wykorzysta atut własnej hali i odniesie dwa zwycięstwa. Niezwykle śmiałe oświadczenie, bo wszyscy wiedzą, że Unia posiada silny skład na miarę mistrzostwa kraju. Skład, składem, ale w playoffowej rywalizacji liczy się charakter i zaangażowanie zawodników, a tego Torunianom nie można odmówić.

Unia po wczorajszym treningu ruszyła do Torunia, bo trenerzy pragną, by wszystko było podporządkowane wygranym.

- U nas wyglądaliśmy dobrze, ale nic nie chciało wpaść – wyjawia II trener Unii, Krzysztof Majkowski. - A rywale wykorzystał swoje sytuacje i odnieśli zwycięstwo. Po tej przegranej, mimo wszystko, byliśmy zadowoleni z postawy zawodników i tylko szkoda, że walili głową w mur. W rewanżu sukces nie przyszedł łatwo, ale też byliśmy zespołem lepszym. Teraz napięcie opadło i będziemy grali swobodniej i z rozmachem. To wyprawa po punkty i... smakowite pierniki – trener uśmiecha się na zakończenie.

Nie lekceważyć!

Jeżeli wygrywa się inauguracyjny mecz 11:1, to jaką trzeba przyjąć postawę w rewanżu? Zapomnieć o wygranej i z pokorą solidnie pracować na kolejne zwycięstwo. A jak było w Satelicie, wszyscy wiemy, GieKSa w rewanżu przegrała z Comarch Cracovią 2:3 po karnych.

- W play offie nie jest istotne, ile się wygra w meczu, ale ile się wygra w serii, a do awansu potrzeba czterech zwycięstw – uśmiecha się z nutką ironii w głosie dyrektor sekcji GKS-u, Roch Bogłowski. - A o tym najwyraźniej zapomnieli nasi hokeiści, dali się zaskoczyć, stracili dwa gole i przez długi czas nie potrafili odrobić strat. W końcu to uczynili, ale ostatecznie przegrali. Liczę, że z tej surowej lekcji wyciągną właściwe wnioski. Dzisiejszy mecz może mieć kluczowe znaczenie w tej rywalizacji. Kto wygra, może się poczuć mocniejszy psychicznie, a to jest szalenie ważne. Jedziemy zmobilizowani i jestem przekonany, że będziemy wracali zadowoleni i wszystko się rozstrzygnie w najbliższą niedzielę w Satelicie.

Hokeiści GKS-u Tychy, obrońcy tytułu, sami sobie zafundowali schody, bo w drugim meczu z JKH GKS-em Jastrzębie uwierzyli w swoją wielkość. Charakterne chłopaki z Jastrzębia pokazali moc i teraz w Karwinie może być różnie.

- O przygotowanie fizyczne jestem spokojny, ale mentalne będzie miało kluczowe znacznie – relacjonuje dyrektor sportowy klubu, Jarosław Rzeszutko. - Sami sobie stworzyliśmy problem i sami musimy go rozwiązać. Wiemy, że nie będzie łatwo, ale dwie wygrane otwierają nam wrota do awansu. Nie będę aż taki zachłanny i jednym też zadowolę. Wiemy, że nikt nie może zlekceważyć tych meczów. Limit frywolnych występów już wyczerpaliśmy.

Pasy i Jastrzębianie nie mają nic do stracenia i wszystko postawią na jedną kartę, bo właśnie tak zrobili w minioną niedzielę i cieszyli się ze zwycięstw. Teraz pewnie będą znów szukali szans. A nuż pojawi się niespodzianka, o której będzie się trąbiło przez jakiś czas...

Włodzimierz Sowiński

TAURON HOKEJ LIGA

Środa, 4 marca
BYTOM, 18.00: BS Polonia – ECB Zagłębie Sosnowiec 1:4, 6:4 *
KRAKÓW, 18.00: Comarch Cracovia – GKS Katowice 1:11, 3:2 K **
KARWINA, 18.30: JKH GKS Jastrzębie – GKS Tychy 3:6, 4:2
TORUŃ, 18.30: Energa – Unia Oświęcim 3:0, 2:3

Czwartek, 5 marca
BYTOM, 18.00: BS Polonia – ECB Zagłębie Sosnowiec **
KRAKÓW, 18.00: Comarch Cracovia – GKS Katowice
KARWINA, 18.30: JKH GKS Jastrzębie – GKS Tychy
TORUŃ, 18.30: Energa – Unia Oświęcim
* wyniki pierwszych meczów ćwierćfinałowych
** mecz transmitowany w tvp-sport.pl
Pozostałe mecze są transmitowane na platformie polskihokej.tv

I LIGA

Dzisiaj pierwsze półfinały play offu (do dwóch zwycięstw): Naprzód Janów – Fudeko GAS Gdańsk (18.30), Podhale Nowy Targ – Sabres Oświęcim (18.00).

Nieudany debiut

NHL

Los Angeles Kings do minionej niedzieli zgromadzili 62 pkt i zajmowali 4. miejsce w Dywizji Pacyfiku z szansami na grę w play offie z „dziką" kartą. Władze klubu jednak uznały, że trzeba wstrząsnąć ekipą i odwołały trenera Jima Hillera, który tę posadę objął w lutym 2024 roku. Prowadził drużynę w 175 spotkaniach, wygrywając 93, przegrywając 58, zaś w 24 meczach zespół zdobył punkt. Teraz stery nad zespołem tymczasowo przejął D. J. Smith, dotychczasowy asystent Hillera, ale generalny menedżer Ken Holland jest na etapie poszukiwania stałego szkoleniowca. W tym sezonie to druga zmiana na stanowisku trenera w NHL, bo 13 stycznia Rick Bowness zastąpił Deana Evasona w Columbus Blue Jackets.
Debiut D. J. Smitha przypadł na potyczkę z liderem, Colorado Avalanche, i byliśmy ciekawi, jak zareaguje zespół na tę zmianę. Debiut był nieudany, boKrólowie przegrali z Lawiną 2:4 (1:2, 1:0, 0:2), choć dzielnie stawiali czoło i do 56 min wynik był remisowy. Trzeciego, kluczowego gola zdobył Devon Toews, zaś wynik ustalił Martin Necas, który podczas gry w przewadze na 2 sek. przed końcową syreną skierował krążek do siatki.
Nim doszło do rozstrzygnięcia, dobrze mecz rozpoczęli goście. Wynik otworzył Nathan MacKinnon (5 min), a wynik podwyższył Gabriel Landeskog (11). Ten pierwszy dodał asystę przy bramce Toewsa i w punktacji kanadyjskiej zgromadził już 99 pkt (41 goli + 58 podań) i ustępuje o cztery „oczka" swojemu kompanowi z reprezentacji, Connorowi McDavidowi (Edmonton). Gospodarze nie zamierzali rezygnować i w rezultacie Brandt Clarke (18, w przewadze) i Angus Booth (29) doprowadzili do remisu. Królowie w tej potyczce wystąpili bez czterech chorych i kontuzjowanych zawodników, m.in. bramkarza Darcy'ego Kuempera i czołowego napastnika, Joela Armii.
Zespół Dallas Stars nie zrezygnował z Pucharu Prezydenta za zwycięstwo w pierwszej części sezonu. Gwiazdy z wyjazdowym meczu odniosły dziewiąte zwycięstwo z rzędu, pokonując Vancouver Canucks 6:1 (1:1, 2:0, 3:0) i tym samym ustanowiły nowy rekord klubowy. Poprzedni wynosił osiem wygranych i został ustanowiony na przełomie marca i kwietnia 2024 roku. Bramkarz Jake Oetinger obronił 13 strzałów i odniósł ósme zwycięstwo z rzędu, wyrównując swój rekord.

Los Angeles – Colorado 2:4, Seattle – Carolina 2:1, Vancouver – Dallas 1:6, NY Rangers – Columbus 4:5 po dogrywce, Toronto – Philadelphia 2:3 po karnych

(ws)

Sport fa29b4d0b9

Witajcie w nocnym raju

Piątka Polaków przystąpi do turniejów WTA i ATP w Indian Wells. Iga Świątek wygrywała w Kalifornii dwukrotnie, teraz przed nią trudne zadanie obrony pozycji numer 2 na świecie.

Skoro mamy marzec, to rywalizacja najlepszych tenisistek i tenisistów przenosi się za ocean, a to oznacza, że polskich fanów tej dyscypliny czekają zarwane nocki. Na osłodę pozostaje świadomość, że będziemy podglądać „tenisowy raj", jak powszechnie określany jest turniej w Indian Wells, a w którym to raju dwukrotnie w ostatnich czterech latach w aureoli „najwspanialszej" wzlatywała Iga Świątek - triumfatorka edycji 2022 i 2024. Może to więc dobry omen przed kolejną znów parzystą edycją „rajskiej imprezy"...

Polka jest jedną z dziesięciu tenisistek, które w Kalifornii - rywalizacja kobiet toczy się tam od 1989 roku - wygrywały dwukrotnie, żadna nie ma na koncie trzech tytułów, a jedynie Martina Navratilova go obroniła - w 1991.

W elitarnym gronie

Świątek w 2022 roku dołączyła za to do elitarnego grona tenisistek, które zdobyły tzw. Sunshine Double, czyli w tym samym roku wygrały w Indian Wells i w następującym zraz kolejnym „tysięczniku" - w Miami. Obok Polki i pochodzącej z Czech Amerykanki (1985) należą do niego także Niemka Steffi Graf (1994 i 1996), Belgijka Kim Clijsters (2005) i Białorusinka Wiktoria Azarenka (2016).

- Indian Wells i Miami to trochę uciążliwa wyprawa. Jest wiele zmiennych, a po drodze traci się trzy godziny. Trudno utrzymać formę przez cały ten czas - podkreśla Navratilova w rozmowie z wta.com.

Od 1996 roku kobiety i mężczyźni rywalizują w Indian Wells w tym samym czasie, ale turniej męski ma znacznie dłuższą tradycję, sięga 1974 roku. Od 2004 w grze pojedynczej startuje po 96 tenisistów i tenisistek, o 32 mniej niż w Wielkim Szlemie. To powoduje, że ci rozstawieni, właśnie 32, do zmagań przystępują od drugiej rundy. Dla reszty droga do tytułu wymaga wygrania aż siedmiu meczów - stąd nieformalnie imprezy w Kalifornii i na Florydzie nazywa się „piątymi lewami Wielkiego Szlema".

5
RAZY
- najwięcej - w Indian Wells wygrali Serb Novak Djoković i Szwajcar Roger Federer.

Ostrzą ząbki na „dwójkę"

W tym roku rozstrzygnięcia rywalizacji kobiet w Kalifornii mogą strącić Polkę z raju do namiastki piekła. O ile prowadzenie Aryny Sabalenki w rankingu jest niezagrożone, o tyle aż trzy inne tenisistki mają apetyty na miejsce zajmowane dotąd przez Polkę za plecami Białorusinki.

Świątek wirtualnie ma tylko 120 pkt przewagi nad mistrzynią tegorocznego Australian Open, Jeleną Rybakiną. Po poniedziałkowym losowaniu drabinki wiadomo że Polka z reprezentantką Kazachstanu może się zmierzyć dopiero w półfinale. Ta z nich, która dotrze do finału, będzie pewna drugiej pozycji na liście WTA, ale jeśli Świątek lub Rybakina do finału nie dotrą, to otworzy się szansa dla Amerykanek Coco Gauff i Jessiki Peguli. Gauff znalazła się w tej samej połówce, co Sabalenka, a Pegula to potencjalna rywalka Rybakiny w ćwierćfinale.

Szybki rewanż z Sakkari?

Świątek w ćwierćfinale może zagrać z broniącą tytułu Mirrą Andriejewą. To właśnie 18-letniej Rosjance podopieczna Wima Fissette'a uległa w ubiegłym roku w półfinale. Teoretycznie łatwy mecz czeka Polkę w zasadzie tylko na otwarcie - jej pierwszą rywalką będzie 93. w rankingu Brytyjka Francesca Jones albo zawodniczka z kwalifikacji.

W trzeciej rundzie Raszynianka może stanąć naprzeciw Marii Sakkari - to z Greczynką przegrała dwa tygodnie temu w ćwierćfinale w Dubaju, ale to ją pokonała w obu finałach w Kalifornii. W 1/8 finału mogą czekać m.in. Czeszka Karolina Muchova i wracająca po kontuzji mistrzyni olimpijska z Paryża, Chinka Qinwen Zheng.

Mecze pierwszej rundy zaplanowano na środę i czwartek i to wtedy zmagania zaczną wszyscy pozostali Polacy. Rywalką opromienionej finałem WTA 500 w Meridzie Magdaleny Fręch (36. WTA) będzie kwalifikantka. Jeśli Łodzianka zwycięży, to zagra z rozstawioną z numerem 12. Szwajcarką Belindą Bencic. Magda Linette (49.) natomiast zmierzy się z Amerykanką Ashlyn Krueger (82.).

Majchrzak na Djokovicia!

Tenisiści w Indian Wells po raz pierwszy w tym sezonie będą rywalizować w imprezie rangi 1000. Kamila Majchrzaka (57. ATP) czeka mecz z potężnie serwującym Giovannim Mpetshim Perricardem (54.). Polak ma dodatkową motywację, by pokonać Francuza, bo wtedy pierwszy raz w karierze zagra z rozstawionym z „trójką" Novakiem Djokoviciem!

Hubert Hurkacz (71.) zacznie od spotkania z sąsiadem z rankingu, Amerykaninem Aleksandarem Kovacevicem (72.). Dalej w drabince jest Francuz Corentin Moutet (nr 31), a w 3. rundzie... Djoković lub jego pogromca. Gdyby na tym etapie doszło do starcia Hurkacza z Majchrzakiem, oznaczałoby to sensację.

Tytułu broni Brytyjczyk Jack Draper, który wraca do formy po kilkumiesięcznej przerwie. Rok temu w Indian Wells zabrakło zawieszonego Włocha Jannika Sinnera, a Hiszpana Carlosa Alcaraza - dziś lidera rankingu - w półfinale wyeliminował Draper. W meczu o tytuł Anglik pokonał Holgera Rune. Teraz z kolei Duńczyk wraca do zdrowia po zerwaniu ścięgna Achillesa.

Obydwa finały zaplanowano na niedzielę 15 marca.

(ToM)

MIKST Z RUUDEM

■ Zasadniczą część rywalizacji w Indian Wells poprzedził pokazowy turniej mikstów, który miał odbyć się w nocy z wtorku na środę czasu polskiego. W rywalizacji awizowano udział ośmiu par, w tym Igi Świątek z Norwegiem Casperem Ruudem.

KAWA Z UŚMIECHEM

■ Katarzyna Kawa (146. WTA) zakończyła serię siedmiu meczów bez wygranej i odniosła pierwsze singlowe zwycięstwo w 2026 roku. W pierwszej rundzie challengera WTA 125 w Antalyi 33-letnia Polka pokonała Mayar Sherif (104.) 6:3, 1:6, 6:2; Egipcjanka w ubiegłym tygodniu dotarła do półfinału pierwszej edycji tureckiego turnieju. W drugiej rundzie po zwycięstwie z 18-latką z Łotwy Adeliną Lachinovą (587.) 6:1, 6:3 zameldowała się także rozstawiona z numerem 7 Maja Chwalińska (134.).



Iga Świątek wygrywała w Kalifornii w latach parzystych. Może to dobra wróżba na tegoroczną edycję?

Fot. Charles Baus/Cal Sport Media/SIPA USA / Press Focus

Gość, który robi zamach na Woronina

Oliwier Wdowik celuje w finał halowych mistrzostw świata, a przede wszystkim w prawie 40-letni rekord Polski!

LEKKA ATLETYKA

Jednym z najciekawszych momentów halowych mistrzostw Polski w Toruniu był finał sprintu mężczyzn na 60 metrów, w którym triumfator Oliwer Wdowik uzyskał świetny czas 6,54 sek. Zawodnik Resovii znacznie wyprzedził Dominika Kopcia (Agros Zamość) - 6,62 i Mateusza Siudę (OŚ AZS Poznań) - 6,65.

Sezon halowy 2026 przyniósł mu już dwukrotnie poprawienie rekordu życiowego – po 6,55 w Dortmundzie w połowie lutego. - Nie zakładałem, iż pobiegnę tak szybko, ale na dystansie czułem się fenomenalnie. Ten palec w górze tuż przed metą pewnie nie był potrzebny, ale to było w geście emocji, spontanicznie. To mój trzeci tytuł z rzędu w tej hali. Nie spodziewałem się czasu 6,54. To jest fenomenalny wynik, ale za trzy tygodnie na mistrzostwach świata w tej samej hali będzie szybciej, jest jeszcze delikatny zapas – zapewnia mistrz kraju.

Urodzony w 2002 roku sprinter z Rzeszowa pierwszy międzynarodowy sukces odniósł w 2019 roku – wywalczył wówczas dwa medale olimpijskiego festiwalu młodzieży Europy. Dwa lata później wraz z kolegami z reprezentacji zdobył brązowy medal mistrzostw świata U-20 w sztafecie 4x100 m, okraszając ten sukces dwukrotnym poprawieniem rekordu Europy juniorów w biegu rozstawnym. Na tych samych zawodach Wdowik został pierwszym Polakiem, który wystąpił w finale globalnego czempionatu juniorów na 100 metrów.

Rezultat 6,54 jest tylko o 0,03 sek. gorszy od rekordu Polski. Marian Woronin podczas halowych mistrzostw Europy w Lievin pobiegł 6,51 – to był rok 1987, zatem ten wynik ma już całkiem długą, 39-letnią brodę...

– Mam w sobie taką świadomość, że to chyba ja jestem tym gościem, który to zrobi. Ta myśl towarzyszy mi cały czas. Chyba po to się urodziłem. Wydaje mi się, że nie mam jakoś wielu talentów, ale zostałem obdarzony darem szybkiego biegania. Staram się to pielęgnować, jak tylko mogę. Liczę, że będzie szybciej na mistrzostwach świata, gdzie stać mnie na miejsce w finale. Stawka na świecie jest bardzo wyrównana, więc będzie decydować dyspozycja dnia – podkreśla w rozmowie z pzla.pl podopieczny Janusza Mazura. Jego rezultat jest siódmym w Europie i... 33. na świecie. Najszybszy jest Amerykanin Anthony Jordan - 6,43.

W czerwcu 2025 lekkoatleta Resovii uzyskał na 100 m czas 10,10, zapewniając reprezentacji cenne punkty w drużynowych mistrzostwach Europy w Madrycie. Na jakie bieganie latem mogą przełożyć się znakomite wyniki z hali? – Mam wrażenie, że od mojego biegu w Madrycie coś zaskoczyło. Znalazłem – albo jestem bardzo bliski znalezienia – swojego optymalnego modelu biegu. Zrozumiałem, jak biegać szybko i jednocześnie luźno. To powoduje, że na tym dystansie odchodzę. Wydaje mi się, że jeżeli to zachowam i poprowadzę taką pracę do lata, to okolice dziesięciu sekund są w moim zasięgu – przekonuje Oliwier Wdowik. A równe 10 sekund to przecież krajowy rekord, który od 1984 roku dzierży oczywiście Woronin... **(ToM)**

Sport fa29b4d0b9

REMANENT

„Kaziu"

Jerzy Chromik



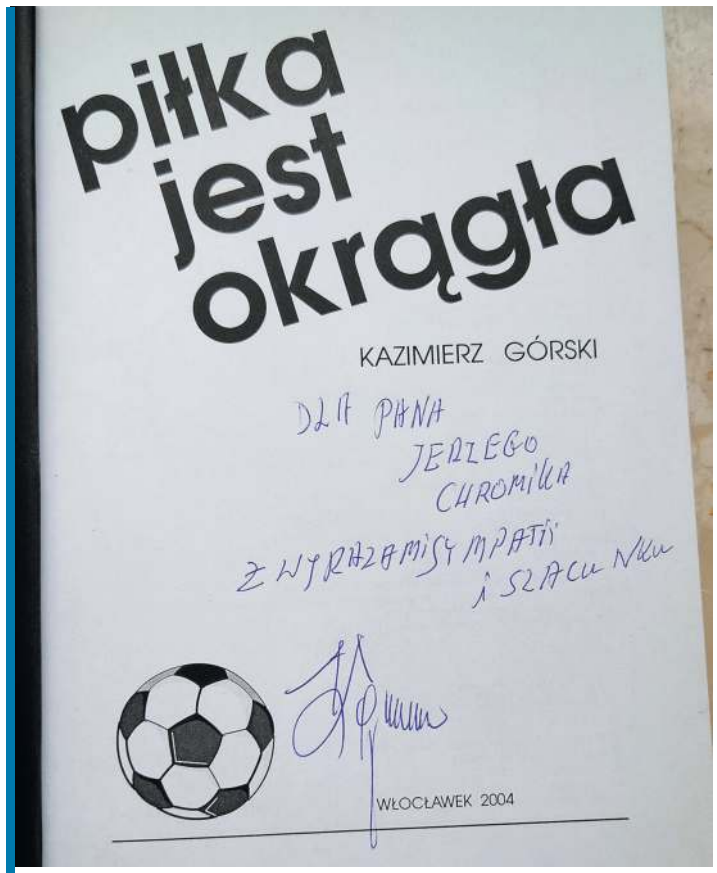
Takie teraz daty. 2 marca skończyłby 105 lat, a życzyliśmy Mu co najmniej od 1972 skończenia stu. Nie dożył. Zabrakło piętnastu. 23 maja minie 20 lat od dnia, gdy Polska pożegnała swego Trenera Tysiąclecia.

Jest magnetyzm dat. I niestety często są to koincydencje z wojnami. W 2021 pamiętano o stuleciu urodzin. Okrągłe, więc łatwiej było o wspomnienia. Każdy ma z Nim związane. Ja też. Gdy zacząłem swój remanent twórczości, to trochę na przekór innym postanowiłem przypomnieć o Nim także w 101. rocznicę Jego urodzin. Los chciał inaczej. Gdy ukazał się tom 2 zatytułowany „Kalendarze Kazimierza Górskiego", to akurat 24 lutego Putin uznał, że Ukraina nie może żyć w pokoju. Zaatakował też Jego rodzinne miasto – Lwów. I reszta z godziny na godzinę stała się milczeniem.

Dziś 4 marca, Kazimierza. Memu pokoleniu imię to zawsze będzie kojarzyło się z Górskim. Panem Trenerem Górskim, bo mimo wielu okazji nie skorzystałem nigdy z możliwości przejścia „na ty". Aż do dziś, gdy pozwoliłem sobie na tak familiarny tytuł felietonu. Co mam teraz na swoje usprawiedliwienie? Nasunęło mi się to po obejrzeniu raz jeszcze w poniedziałek filmu dokumentalnego „Kaziu, Polska Ci dziękuje".

Miałem ledwie 16 lat, gdy Szołtysik, Lubański i Deyna sprowadzili na trawę Węgrów. A potem był 1974. Wiadomo, że nie tylko „mecz na wodzie". Wszystko oglądałem na biało-czarnym ekranie telewizora Ametyst 102. Wybrałem sobie potem zawód, który dał mi szansę na osobiste poznanie tej wyjątkowej postaci. W Warszawie, przy Mokotowskiej 24, uścisnąłem rękę Pana Górskiego po raz pierwszy. Przy okazji redakcyjnej dyskusji pod zaczepnym tytułem „Czy będziemy mistrzami świata?". Był rok 1986. Gość miał wtedy 65 lat. Niedługo potem naczelny Jacek Żemantowski powierzył mi misję specjalną – zrób, młody, cykl rozmów z mianownikiem „Pół wieku Kazia z piłką". Skorzystałem z radością i podekscytowaniem.

Prawie co tydzień umawialiśmy się na przemian. Albo w lokalu SPATiF-u, prawie vis-a-vis ówczesnej siedziby PZPN-u w Alejach Ujazdowskich. Albo ponad sto metrów dalej w restauracji Ambasador. Tak powstały zamieszczone w drugim tomie „Remanentu" kalendarze.



Najcenniejsza pamiątka z... celulozy.

Niezwykły zapis życia. Niestety, przy okazji roku 1974 nie przywołał spotkania z Wilimowskim.

Pomagałem niedawno przy sztuce Talarczyka i Zaorskiego „Ezi", choć zgodnie z tytułem spektaklu odpowiadałem wyłącznie za fakty z życiorysu Wilimowskiego. Po emisji w Teatrze Telewizji sporo znajomych pytało mnie z dużym niedowierzaniem, czy aby na pewno była taka rozmowa dwóch naszych bohaterów. Pan Kazimierz dopiero w swojej książce wydanej po 1989 wspomniał o tym spotkaniu. Trudno mu nie wierzyć. Paweł Czado i Mariusz Kowoll też są ze mną zgodni. Miały być nawet dwie próby kontaktu „Eziego" z Górskim. W Paryżu żyje świadek pierwszej z nich.

Nikt nigdy już nie ustali, czy ich rozmowa trwała pięć, czy piętnaście minut. W teatrze prawie godzinę. No, ale to kwestia puszczenia wodzy fantazji scenarzysty, a potem wpływu reżysera i dwóch aktorów na to, co na planie. Reszta jest milczeniem. Historii.

Może jednak kiedyś, po sztuce „Ezi", będzie jeszcze w Teatrze Telewizji, tej największej scenie świata, spektakl „Kaziu". Chciałbym doczekać, pomóc, a potem posłuchać komentarzy. Niekoniecznie przy koniaczku...

TYM RAZEM ZŁOTO

STRZELECTWO

■ Łukasz Czapla zdobył w Erywaniu złoty medal strzeleckich mistrzostw Europy w konkurencji ruchoma tarcza (przebiegi mieszane). To kolejny medal Polaka w tej imprezie, w niedzielę był drugi w ruchomej tarczy na 10 metrów, minimalnie przegrywając w finale z utytułowanym Szwedem Jesperem Nymbergiem. Czapla, jeden z najbardziej utytułowanych strzelców w tej konkurencji (wielokrotny mistrz świata i Europy, w bogatej kolekcji ma także medale wywalczone na Uniwersjadzie), w ostatnim dniu zawodów zgromadził 383 punkty (przebiegi 189 i 194). Drugi był Ukrainiec Danyło Danyłenko - 379 (191+188), a trzeci Fin Aaro Juhani Vuorimmaa - 376 (185+191). Startowało 16 zawodników. 43-latek jako jedyny z reprezentacji Polski stawał na podium w tej imprezie.
– Łukasz to przykład, iż marzenia są po to, aby je realizować – napisano na profilu klubu Petarda Kraków, który Czapla założył w 2018 roku. Obecnie jest nie tylko jego reprezentantem, ale także prezesem i do tego szkoli w nim innych zawodników.
– Liczymy, że sukces naszego trenera przyciągnie do strzelectwa rzesze młodych adeptów w Małopolsce – dodano. Gośćmi mistrzostw byli premier Armenii, Nikol Paszynian, oraz szefowie federacji strzeleckiej, światowej – Luciano Rossi oraz europejskiej – Aleksander Ratner.



Fot. Petarda Kraków

Łukasz Czapla w trakcie mistrzowskich zawodów.

POSZŁO O MAPĘ

PARALIMPIADA

■ Reprezentacja Ukrainy musiała dokonać zmian w strojach przygotowanych na rozpoczynające się w piątek igrzyska paralimpijskie. Powód? Była na nich mapa kraju w granicach powszechnie uznawanych międzynarodowo.
– Alternatywny strój został dostarczony w ciągu 24 godzin i zatwierdzony przez IPC – poinformował Craig Spence, odpowiadający za komunikację w Międzynarodowym Komitecie Paralimpijskim. Według ukraińskich mediów pierwotny projekt reprezentacyjnych strojów przedstawiał mapę Ukrainy obejmującą wszystkie terytoria tymczasowo okupowane przez Rosję. Zgodnie z przepisami IPC dotyczącymi strojów, zakazane są na nich teksty hymnów narodowych, zwroty motywacyjne oraz publiczne lub polityczne przesłania bądź hasła związane z tożsamością narodową. – Mapa kraju mieści się w tej ostatniej kategorii, dlatego jeden element ukraińskiego stroju nie został kilka miesięcy temu zatwierdzony. Stąd konieczność zmiany – zaznaczył Spence. Ukraina, podobnie jak niektóre inne państwa, w tym Polska, zamierza zbojkotować piątkową ceremonię otwarcia paralimpiady w Weronie po tym, jak IPC zezwolił rosyjskim i białoruskim sportowcom na rywalizację pod ich flagami i z hymnami narodowymi w przypadku triumfu. Zimowe Igrzyska Paraolimpijskie Mediolan-Cortina odbędą się w dniach 6-15 marca. Ukrainę będzie reprezentować 35 sportowców, którzy wystąpią w czterech dyscyplinach.



Fot. Paralympic Games

To tu, w starożytnym amfiteatrze w Weronie, w piątek odbędzie się ceremonia otwarcia paralimpiady.

ZA DARMO UMARŁO

OLIMPIZM

■ Radosław Piesiewicz, prezes Polskiego Komitetu Olimpijskiego, potwierdził, że zarabia obecnie 58,5 tysiąca złotych brutto. Przekazał, że podwyżkę zaakceptowało prezydium PKOl, a wnioskował o nią skarbnik organizacji Grzegorz Kotowicz. Tłumaczył, że to środki z „innego katalogu wydatków" i nie ucierpią na tym sportowcy, którzy czekają na nagrody za wyniki osiągnięte w igrzyskach olimpijskich we Włoszech.
– Nie czerpię środków sponsorskich. Przejąłem kompetencje dwóch wiceprezesów; oni przestali zarabiać, a mi dołożono zadań, dlatego dostałem podwyżkę – powiedział Piesiewicz na antenie RMF FM. – Od początku, kiedy walczyłem o prezesurę w PKOl, mówiłem, że nie będę pracował za darmo. Nikt w tym kraju nie pracuje za darmo. Uważam, że za pracę należy się wynagrodzenie, uczciwa praca jest ważna, a nie udawanie i okradanie swojego pracodawcy – dodał szef PKOl.
Po raz kolejny podkreślił, że PKOl nie pobiera środków budżetowych, a spółki Skarbu Państwa zaprzestały sponsorować komitet „w imię walki politycznej". Uspokoił, że mimo rezygnacji jednego ze sponsorów, sportowcy nie muszą się martwić o nagrody finansowe, na które zapracowali wynikami w zimowych igrzyskach we Włoszech. – Na sto procent je dostaną – zapewnił i potwierdził, że Gala Olimpijska, podsumowująca tegoroczne igrzyska, jest planowana na 11 kwietnia.



Fot. Tomasz Jastrzębowski / Foto Olimpik / Press Focus

Radosław Piesiewicz podkreśla, że uczciwa praca jest ważna.

Sport fa29b4d0b9

Pędzilla atakuje

Alejandro Pedryc zwyciężył w turnieju Pro Golf Tour w Turcji. Jego nieokiełznany talent wreszcie eksplodował na międzynarodowej arenie.

Osobiście widziałam go wielokrotnie w akcji, począwszy od czasów, kiedy był dzieciakiem, potem jako potwornie zdolnego młodego amatora, aż po świetnie zapowiadającego się zawodowca. Kiedy gra swoje, oglądanie go jest ucztą dla oka. Wiele wskazuje na to, że może pójść w ślady Adriana Meronka czy Mateusza Gradeckiego.

Bez gwiazdorzenia

Uderza potwornie daleko, co robi piorunujące wrażenie, a swoją krótką grą potrafi zachwycać. To dobre połączenie. Przy tym jest naprawdę miłym chłopakiem, bez zadęcia, bez krztyny gwiazdorzenia. Gra spokojnie i cały czas stara się być pozytywnie nastawiony do tego, co robi, choć jak dobrze wiemy, w golfie to nie jest takie łatwe. Kiedy coś mu nie wyjdzie, nie rwie włosów z głowy, nie miauczy, nie rzuca się, nie ciska kijami, cierpliwie starając się grać najlepiej jak to możliwe. Jako amator zdobył niezliczone tytuły mistrza Polski, w tym sześciokrotnie wraz z drużyną Sobieni wywalczył trofeum klubowe, od samego początku będąc filarem tej najbardziej utytułowanej polskiej drużyny golfowej. Na koncie ma już zwycięstwa zawodowe, wygrywając chociażby w ubiegłorocznym Floating Garden Szczecin Open. Nigdy jednak nie zwyciężał w Pro Golf Tour – lidze będącej przedsionkiem HotelPlanner Tour.

Nieświadomy wygranej

W Turcji jego łupem padł 2026 Golf Mad Challenge. Triumfował z przewagą najmniejszą z możliwych, po dramatycznej rundzie finałowej, po której smakiem musieli obejść się trzej główni rywale: Niemiec Velten Meyer, Holender Koen Kouwenaar i Francuz Louis Bonte. Podczas wietrznego finału w malowniczym nadmorskim ośrodku Lykia Links walka o tytuł rozgrywała się tak naprawdę pomiędzy czterema zawodnikami. Kouwenaar, zwycięzca Staan Open 2024, jego partner Bonte i Meyer – który zaliczył najlepszą rundę dnia



Alejandro Pedryc z pierwszym trofeum Pro Golf Tour!

Fot. Pro Golf Tour

– byli już w budynku klubowym, licząc na dogrywkę. Walczący w ostatniej grupie Alejandro skutecznie pokrzyżował te plany. Pędzilla, jak pieszczotliwie jest nazywany Polak, trafił putta na birdie na ostatnim dołku i dopiero po reakcji Mateusza Gradeckiego, który spontanicznie został ostatniego dnia jego caddym, zrozumiał, że to uderzenie oznaczało pierwszy tytuł w Pro Golf Tour! „Wciąż próbuję to przetworzyć" – przyznał w szybkiej wypowiedzi zaraz po wygranej 24-latek, który jakimś cudem otrząsnął się po czterech kolejnych bogeyach na początku rundy, kontratakując sześcioma birdie na ostatnich dwunastu dołkach! „Początek nie był świetny, ale wiedziałem, że te dołki będą dla mnie trudne z powodu bocznego wiatru. Byłem cierpliwy i nie popełniłem żadnego błędu. Dla mnie powrót do rywalizacji po ostatnich rozczarowaniach to już zwycięstwo. Przez całe życie dużo inwestowałem w golfa i czasami czułem, że niewiele mi to daje. Dlatego to takie wspaniałe uczucie".

Duet doskonały

Alex, który studiował w USA w Teksasie, a później Missisipi, dużo zawdzięczał w tym turnieju putterowi. „Mój putting był kluczem do sukcesu. Był fenomenalny przez wszystkie trzy dni. Zazwyczaj to niekoniecznie jest moja najmocniejsza strona, ale dziś mnie uratował. Bez dobrego puttingu nie wygrywa się turniejów, można przejść cut, ale nie walczy się o tytuł". Dobry kolega gwiazdy Ryder Cup, Ludviga Aberga, z którym zaprzyjaźnił się podczas studiów w Texas Tech, był też pod wrażeniem wymagającego pola. „Szczególnie podoba mi się jego projekt: wydaje się naturalnie wkomponowany w krajobraz, a nie sztucznie w niego wciśnięty. Testuje każdy element gry – długość uderzenia z tee, grę ironami i nerwy. Z tylnych tee można by tu nawet zorganizować US Open".

„Gradi", trzykrotny triumfator w Pro Golf Tour i zwycięzca na Challenge Tour, który w pewnym sensie może spokojnie uważać się za ojca tego sukcesu, sam również grał w Turcji. Zabrakło mu nieco do awansu do finału, więc wspaniałomyślnie postanowił pomóc koledze... wygrać. „Jego nastawienie jest świetne – chwalił Pedryca. - Jest megapozytywny i nawet po czterech bogeyach z rzędu na start był w stanie iść dalej i grać swoje. Ja mu tylko podpowiadałem, żeby grał swoje, podejmował decyzje, z którymi się pewnie czuje i którym ufa. Do tego było dużo weselej między nami niż u dwóch współgraczy. Atmosfera w grupie była słaba, bo chłopaki ciągle narzekali i kiepsko się zachowywali. Alex był w tym aspekcie znacznie lepszy. Do końca wydawało się, że jest z tyłu wynikowo. Okazało się, że birdie na ostatnim dołku dał wygraną, chociaż nam zdawało się, że da tylko dogrywkę. Cieszę się, bo Alex jest top, ma świetną energię. Dużo wspólnie trenowaliśmy zimą w Hiszpanii i powoli widać tego efekty. Przyjdzie i na mnie czas" – dodał „Gradinho".

Swoimi wrażeniami podzielił się też Michał Bargenda, z którym Alejandro sięgał wspólnie po wszystkie tytuły klubowego mistrza Polski. „Jestem bardzo dumny z Alejandro. Znamy się od dzieciaka, więc wiem, jak dużo pracy włożył w swoją karierę amatorską i zawodową. Spędziliśmy razem bardzo dużo czasu na treningach, marząc o zwycięstwach w zawodowym golfie. W ostatni dzień turnieju przyniósł nam na pewno sporo emocji, zaczynając od czterech bogeyów i kończąc birdie na ostatnim dołku. Sezon będzie jeszcze bardzo długi, ale na pewno to nie jego ostatnie słowo".

Kasia Nieciak

Zastrzyk pewności siebie

Rozmowa z **Alejandro Pedrycem**

Jak grało się w Turcji?

- Było bardzo w porządku. Driver działał bardzo dobrze, irony raczej średnio. Krótka gra na bardzo dużym plusie. Myślę, że to ona tak naprawdę pozwoliła mi wygrać, głównie putting.

Kiedy zrozumiałeś, że jesteś blisko zwycięstwa?

- Tak naprawdę na sam koniec. Po tym jak zacząłem słabo, nawet nie patrzyliśmy na leaderboard. Chciałem tylko grać swoje, jak najlepiej mogę i nie przejmować się, czy prowadzę, czy jestem dziesiąty, czy piętnasty. Na drugiej dziewiątce wiedziałem już, że idę trochę lepiej i dostrzegłem, że z przodu pojawiły się jakieś bogeye, a na siedemnastce zobaczyłem, że Francuz przetoczył się przez green i zrobił bogeya. Więc mówię ok, może być blisko i kiedy wykonywałem ostatni putt, myślałem, że to jest na dogrywkę, a nie na zwycięstwo - może to nawet lepiej.

Jak „Gradi" spisywał się jako caddy?

- Był super! Chłonąłem od niego mnóstwo doświadczenia. On był w podobnych sytuacjach wiele, wiele razy, na różnych poziomach, więc myślę, że dużo mi pomógł, szczególnie na koniec i szczególnie ten ostatni putt. Przeczytaliśmy go razem i dalej tak naprawdę się wahałem, ale zaufałem temu, co on widział, mojemu pierwszemu przemyśleniu i... go trafiliśmy. Przez całą rundę mieliśmy bardzo dobre nastawienie, motywowaliśmy się nawzajem i naprawdę był super. Bardzo mu dziękuję, że ze mną poszedł. Było mi bardzo miło i mam nadzieję, że będę w stanie się odwdzięczyć.

Czy mocno denerwowałeś się w finale?

- Tak naprawdę jakoś się nie denerwowałem, przynajmniej tego nie czułem, ale na pewno były nerwy – ciężko, żeby ich nie było.

Zacząłeś słabo i potem się odbudowałeś. Jak ci się to udało?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, po prostu nie przejmowałem się tablicą wyników. Byłem szczęśliwy, że w ogóle jestem blisko prowadzenia. Nie miałem niesamowitych oczekiwań, że dzisiaj muszę to wygrać, że koniecznie potrzebuję tego zwycięstwa. Wiadomo, każdy chce wygrać od czasu do czasu, ale nie wywierałem na siebie presji.

Zimą trenowałeś razem z Angelem Ayorą i Juanem Ochoą, zwycięskim duetem z GAC Rosa Challenge Tour. Czy Juan jest teraz twoim trenerem?

- Tak, zimą działaliśmy razem z Juanem i Angelem. Juan tak naprawdę zawsze był moim trenerem i teraz też jest. Współpracuję również z trenerem z Norwegii, z czasów college'u. Ale tak, od Juana biorę dużo porad co do swingu, gry, nastawienia, zawsze tak było. Fajnie było z nimi pograć. Dzięki ich znajomościom zagraliśmy na Valderramie, więc super. Trenując z Angelem, myślę, że dużo się nauczyłem. Grasz z kimś, o kim wiesz, że jest już tam, gdzie chcesz być. Widzisz, jak to wygląda, czego ci brakuje i czego potrzebujesz. Dużo się uczysz przy takim zawodniku.

Nie jest łatwo wygrać na PGT. Jak to odbierasz?

- Dużo znaczy dla mnie to zwycięstwo, ale też... i mało. Nie jadę na następny turniej z jakimś innym nastawieniem, niż gdybym nie wygrał w Turcji. Chcę tam pojechać i zagrać znowu jak najlepiej. Przede mną długi sezon, wiem, że zwyciężyłem i mam pewność, że mogę wygrać kolejne turnieje w tym roku. To przyjdzie w swoim czasie. Teraz chcę parę dni odpocząć, potrenować. Przygotować się jak najlepiej na kolejny turniej i grać jak najlepiej. Co będzie, to będzie, maszyna losująca coś wylosuje. Na pewno dostałem zastrzyk pewności siebie. Fajnie też poczuć, że to, co robię, idzie w dobrym kierunku.

Jakie masz plany na ten sezon?

- Pro Golf Tour to moja liga w tym roku, tak czy siak taki był plan. Chcę grać tam jak najwięcej, żeby zdobyć jak najwięcej punktów i znaleźć się w piątce czy szóstce, która awansuje na Challenge Tour w przyszłym sezonie.

Powodzenia!

Rozmawiała Kasia Nieciak